

KRAKÓW ZA ŁOKTKA.



J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XII.

KRAKÓW ZA ŁOKTKĄ.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

TOM II.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

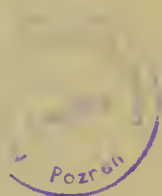
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

Edward Wende.

1880.



W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

I.

Nad drogą z Gdowa przez Łapanów do Bochni wiodącą, jest starodawna osada Wieruszyce.

Gdy Łoktek objął po Czechach panowanie, znalazł ją bezpańską i opustoszałą. Dawny jej dziedzic za zdradę jakąś przepłacił głową, a że rodziny nie miał, liczyły się Wieruszyce za księżęcą własność.

Choć majątność dość była rozległą i piękną, osadnicy się w niej jakoś utrzymać nie mogli. Gdy gospodarza nie stało, wieśniacy w świat też poszli.

Napierało się duchowieństwo tego kawałka ziemi i przyległych lasów, i byłoby ją dostało, gdyby Łoktek pamiętny usług Marcika, który mu z porąbaną wrócił głową, nie począł się dowiadywać, gdzieby jaki kawał ziemi mógł mu nadać.

Kancelarz Klemens wspomniał jakoś Wieruszyce, a Łoktek zatrzymawszy na zamku Sułę, kazał nadanie Wieruszyce spisać dla Marcina Zbigniewa syna, żołnierza swego (Miles) na wieczne czasy jemu i potomstwu ziemię tę przekazując.

Nie spodziewał się Marcik łaski tej, bo mu też teraz o nią mniej chodziło, gdy majątności nie miał z kim dzielić.

Gdy mu nazajutrz po przybyciu do księcia się stawić kazano, spytał go naprzód Łoktek, widząc zwisłą głowę i pochmurne wejrzenie:

— Cóżżeś to ty tak od jednego po głowie draśnięcia na siłach opadł? Z tobą i z ojcem nieraz gorzej bywało.

— O ranę bym ja tam nie wiele dbał — odpowiedział Suła — ale.. co innego mnie doma skwasiło...

— Nie dajże sobie marnieć — począł książę. — Spocząć ci nie czas jeszcze i potrzebny mi jesteś, ale żeby na starość było gdzie głowę przytulić, a ojciec z matką gniazdo ci usłali.. chcę ci dać kawał ziemi.

Obojętnie dość pokłonił się Marcik, a książę, który mu już list pergaminowy wyciągnął — zapytał zdziwiony:

— Cóżżeś, nie rad temu?

— Wdzięczen owszem jestem, miłości waszej, jako ojcu dobrotliwemu — począł Marcik do nóg mu upadłszy — szczególnie dla starych moich

co dotąd komornem siedzą, na łasce cudzej. —
A dla mnie — to tam!!

— Cóż ci tak świat zbrzydł? — zapytał książę.

Marcik z dawnego życia obozowego miał poufalość do swego pana.

— Miły panie — rzekł — wszystko to przez te baby przekłete!

Łoktek się uśmiechnął.

— Cóż? urok na cię rzuciły?

— Musi to być — odparł Marcik smutnie —
bo inaczej bym pewnie dawno płuwał i zapomniał.

— Gadajże — począł książę siadając.

— Niema o czem, miłościwy książę — westchnął Sula. — Dziewką była, miłowałem ją, za
mąż poszła, owdowiała, nie przestałem Niewiasta
osobliwa, śmiać się rada, serce rwie, a z ludzi
wszystkich drwi sobie.

Niechżeby ze mną, ale ze wszystkimi tak
czyni. Gdyśmy Kraków zajmowali, a jam ją chciał
od gospody ochronić, o mało mnie pan z Szamotuł nie ubił. I tego tak bałamuciła jak mnie,
aż w końcu porwać ją pewnie myślał — co ona
zmiarkowawszy, uszła mu do Wrocławia i tak
z niego jak ze mnie zadrwiła. Dosyciem dla niej
cierpiał — zakląłem się, że jej widzieć i znać nie
chcę, ano przecie serce boli.

Marcik wzdychał tak pociesznie, że książęciu
na śmiech się zbierało i rzekł:

— Pójdiesz ze mną, da Bóg na Pomorze..

W Gdańsku urodziwych niewiast dosyć.. napytasz sobie drugą...

Oddał książę list Marcikowi, który do nóg mu padł po raz drugi, a choć dosyć obojętnie to przyjął, gdy za pazuchą poczuł owo nadanie pańskie, a pomyślał, że swój własny szmat ziemi mieć będzie — kawał lasu, ryby, grzyby, wypas dla stadniny, grunta, na których ludzi będzie mógł sadzić, że się stanie panem jako i drudzy z chudego pacholka, zaszumiało mu w porąbanej głowie. A jakaż to dopiero radość dla starego ojca i matki!

Gdy go Łoktek odpuścił potem, już nawet na Rzeźniczą ulicę nie wstąpiwszy, wprost do Łowczej pośpieszył.

Była godzina na noc, gdy tam stanął. Koń zarżał i stary Chaber wyszedł go wziąć do szopy. Zbyszek, który go widział wyjeżdżającym dość smutnie, uradował się w progu ujrawszy wracającego z jakąś butą znaczną, a licem dość wesołym, przynajmniej rozpogodzonym.

Witali się, a Zbita wieczerzę już podawać miała, gdy Marcik obejrzał się po starym dworze.

— A co? — odezwał się — jużby nam tę Łowczą warto porzucić, bo to biesi kąt jest.. życie w nim licha warto!!

Zbyszek zdziwił się mocno.

— Co ci w głowie? gotówes do miasta? — rzekł kwaśno.

— Jam to mieścisko zbrzydził gorzej Łowczej — żwawo odpowiedział Marcik. — Muieby się chciało precz ztąd wynieść. Jak myślicie? gdzieś pod Bochnię! albo co?

— Cóż ci to tu soli mało? — rozśmiał się Zbyszek.

Wtem Marcik nie mogąc już strzymać — rozśmiał się, dobył z płachty zawinięty w niej pergamin z pieczęcią wiszącą, chustę precz odrzucił i podniósł go w rękę do góry.

— Patrzajcie no — zawołał — jaki to dobry pan! Bóg mu daj tę koronę, której pragnie! Ojczulu miły — ziemi nam szmat podarował na wieczne czasy.. zowie się majątność nasza Wieruszycę!

Zbyszek uszom nie wierzył, Zbita stała jak skamieniała.

— Jakie ci tam Wieruszycę — odezwał się, — głowę zawieruszyły! Co bo pleciesz! Starych nie zwódź! nie godzi się.

— Nie zwodzę, nie kłamię, nie bałamucę — zawołał dmąc się nieco Marcik. — Oto tym listem za wierne usługi pan mi nadał ziemię koło Bochni. Była tam, albo i jest osada jakaś, gruntów i lasu dosyć.. Łowczę teraz kołkiem podeprzeć, Mieczykowi za łaskę jego nieraz wypominaną podziękować i na swoje śmiećisko nam ruszać!

Zbyszek ani syn czytać nie umieli, przecież ów zamazany pergamin, owa pieczęć na sznurku,

którą stary pochwyciwszy do ust cisnął — a oczy pał niemi — uczyniły na nich wrażenie niezmiernie...

Chaber, Marucha, chłopak przybiegli przypatrzyć się temu czemuś, co ziemię dawało z poszanowaniem, jak świętości.

Zbyszek przekonawszy się, że syn prawdę mówił, wpadł w rodzaj radosnego szalu — prawie upojenia. Długo znoszone ubóstwo, pokora do której był zmuszony, żywot na lasce przygniotły tak go, że odrobiny tej szczęścia spokojnie znieść nie umiał. Roilo się im państwo wielkie, choć nie wiedzieli sami co im dano.

Temu, co długo nie miał nic, ziemia — owo czarodziejskie słowo, zawracało głowę. Ziemia, lasy, woda, pastwiska, rola, barcie — a może ludzie, służba — i swój własny dwór i chleb nie cudzy!! wszystko to jak z nieba na nich spadało.

Zbyszek starowina, gdyby był mógł, puścił by się był na noc całą do swych Wieruszyc, do których drogi nie wiedział, o których jako żyw nie słyszał. Marcikowi mniej było pilno — przecież i on swe dziedzictwo zobaczyć pragnął.

Zaczęto spierać się co z tem robić.

Zbita już w myśli gospodarstwo zaprowadzała, frasując z kąd chudoby dostanie.

Stańło na tem, ażeby Zbyszek obejmował, budował, pracował tam, a Marcik wdzięczny panu,

miał z nim iść na Pomorze, a choćby na kraj świata.

Nim się spać pokładli, milczący Chaber pewien był, że juścić i on chatynę tam z kilką zagonami otrzyma — a i Marucha coś rośla.. Miała mieć dziewczki pod rozkazami swemi i zagon lnu dla kądzieli.

Gdy nazajutrz ojciec i syn, o świcie grzanem piwem się posiliwszy, puścili się szukając Wieruszyc onych, na spytki, ledwie w Bochni dowiedzieli się, iż to pustynia była nad Stradomką kędyś — i drugiego dnia do nich trafili.

Bezpańskie to było od dawna — granic pewnych nikt nie znał, o wodocięzach tylko powiadano, że je niegdyś stanowić miały.

Sąsiedzi wpierali się z różnych stron zajmując łąki i zarośla.. Z osadników niegdyś tu zamieszkałych, zręby chat tylko pozostały, nie było ich już więcej nad jednego starego z synem, który się tu bodaj dziedzicem sądził, a drugi w lepiance dziad głuchy, zdziczały, w lachmanach. Z tym rozmówić się nawet nie było można.

Z sąsiedniej Woli niektórzy ludzie ofiarowali się granice i grunta zarosłe okazywać, na których ledwie widnych zagonach, drzewa już bujały. Każdy z nich wszakże inaczej wiedział.

Dworu nie było żadnego, zwaliska tylko na pagórku nad Stradomką i murów szczątki zieliskiem okryte.. Sterczało ścian parę, i złomy ka-

mienne, pośród których młoda brzezina i łozy gęsto puszczały.

Posmtnieli Sułowie — bo wszystko tu stworzyć było potrzeba, ale ziemię mieli swoją!!

Ponieważ około Krakowa, Wieliczki i Bochni ludu się zawsze różnego wiele przewijało, miał Marcik nadzieję na Wolę zwabić osadników. Tym czasem ziemia wyżywić mogła. W lasach były barcie, w Stradomce i strumieniu który w nią wpadał ryby, na łakach leśnych bydło paść się mogło — ale z rękami założonemi siedzieć tu nie mogli, a niewiedzieć od czego poczynać było.

Ponieważ gościniec szedł tędy od Bochni do Gdowa, a ludzi nim przejeżdżało wiele, staremu Zbyszkowi naprzód na myśl przyszło karcznię z gospodą stawić.

Tu wedle zwyczaju, kędy się ludzi najwięcej zbierało, miał wbić ów pal z kołkami, który oznaczał ile lat Woli osadnikom dawano.

Przechodnie szukający opieki i roli, około takiego pala stawali i czytali z kołków, czy warto było iść o naznaczenie jakiego łanu się targować.

— Byle ziemia — mówił pocieszając się Zbyszek — ludzie się znajdą do niej.

Przenosić się z Łowczej nie było dokąd, dopóki by jaka taka chata nie stanęła, a na tę drzewo potrzeba było wywieść z lasu, i cieślów do niej ściągnąć z miasteczka.

Marcik mniej cierpliwy, gdy się po wielkiem swem dziedzictwie rozglądnął, choć polować w niem miał gdzie i o zwierzynie mu powiadano wiele — zrozpaczył zupełnie, gotów się go był już wyrzekać. Zbyszek myślał inaczej.

— Do stu katów — mówił do syna — gdyby przyszło nad wozem szatrę rozpiąć i pod gołem niebem stać — na swej ziemi gdy się pocznie, zrobi się coś. Nie święci garnki lepią.

Jedyny ów osadnik, jakiego tu zastali, stary Dygas z synem Jędrkiem, który na zbója wyglądał, nowemu panu w oczy patrzali niechętni. Pomagali mu potrosze, ale ów dziedzic i nowy ład jaki chciał zaprowadzać, nie były im do smaku. Zgadzałi się ze swym losem, trąc głowy i spluwając, lecz posługiwać zmuszeni. Takim był pierwszy dzień w tej ziemi obiecanej, na którą Marcik się użalał, i na parobka nie chcąc zejść, ojcu oświadczył, że na dwór do księcia powróci...

Zbyszek podjął się wszystkiego...

Drugiego dnia Sula na koni siadłszy, obejrzawszy się do koła, u Dygasa ojca zostawując, który odwagi nie tracił, sam do Krakowa ruszył.

Łoktek miał wiele do czynienia na państwie swem, jak Zbyszek w Wieruszycach.

Książę Henryk Śląski wydarł mu był Poznań, na Pomorze Brandeburgi czyhały i Krzyżacy...

Przyłączył się Marcik do orszaku księcia, aby o Krakowie i niewdzięcznej Grecie zapomnieć.

Na Pomorzu tyle do czynienia było, iż do Krakowa prawie zaglądać nie mogąc, a ojcę o sobie przez drugich znać dając, lat kilka Marcik zabawił.

Źle się wiodło Łoktkowi na Pomorzu z ludźmi złej wiary i napastnikami. Sula nie miał czasu o sobie myśleć. Ciągłe posyłany, targany, gnany, czemu i rad był może; wysługiwał się panu lepiej od innych i łaskę jednał coraz większą.

W przeciągu czasu tego, chociaż Pomorze się oderwało, Wielkopolska pod Henrykiem Głogowskim, który czystym Niemcem był i nie w sobie polskiego, ani żdźbła już nie miał — poczęła tęsknić do własnego pana. Nałęcz, których z Zarebami za zdradę i zemstę na Przemysławie, za zabójstwo króla od szkarłatów i od ziemiańskiego szyku odsądzono — do czci wrócić zapragnęli.

Wziął się tedy Dobrogost z Szamotuł, którego Małym zwano, przeciwko Ślęzakowi ludzi gromadzić i z Polski go wyganiać tak skutecznie, iż pobiwszy Janasza Baberstejna, owemu Ślęzaków panowaniu koniec położył.

W Poznaniu tylko samym zawieruchę niepożyciwą zrobił Przemek mieszczanin, który ze swemi na zamku się w kościele osadził, aż go ztamtąd dobywać musiano, nie bez krwi rozlewu.

We wszystkich tych sprawach Marcik zawsze gotów a ochoczy księciu swemu pomocnym był

wielce. Nie minął żadnej zręczności ażeby się nie odznaczył.

Miał u pana miłość i zachowanie wielkie.

Przy zdobywaniu kościoła w Poznaniu będąc też czynnym, od strzały w ramię otrzymał ranę dosyć głęboką. Nie bardzo ją sobie ważył, bo nie była pierwsza ani najstraszniejsza, lecz czy strzałę dostał zatrutą, czy krew w nim nie ta już już co dawniej była, rana się jątrzyć zaczęła mocno, musiał Marcik się lizać.

Jechał z nią do znajomego sobie a łaskawego na się kanonika Raclawa do Krakowa, aby na ten postrzał radę mu dał.

Bywał ci on lat tych w Krakowie nie mało razy z poselstwami do księżnej Jadwigi od pana, właśnie była na świat syna wydała, któremu imię Kazimierza na chrzcie włożono — bywał na krótko, na zamku stając i nie mając czasu rozpatrywać się ani o sobie myśleć.

Teraz ranny, gospody sobie szukać zmuszony, gdy do miasta wjechał znowu — okrutnie mu się dawne lata i owa Greta a co dla niej wycierpiał, przypomniały.

Los pewnie tak zrządził, że nigdzie sobie gospody nie mogąc napytać, na Rzeźniczej ulicy u dawnego znajomego Hinczy ze Swiduicy, którego w ulicy spotkał, a ten go jął zapraszać bardzo — stanąć musiał.

Był ten dworek Hinczy mało nie naprzeciw

okien domu Greta, o której niewiedział już nawet Marcik co się z nią działo.

Ulica wązka, gdy okna otwarte były, do wnętrza mieszkania zajrzeć dozwalała.

Hincza, który wiedział, że Marcik w wielkich łaskach u księcia był, przyjmował gościnnie.

Oprócz tego choć pół Ślązak, a ojca Niemca miał, po matce polce, inną krew i obyczaj wziął w spadku. Browar, który po ojcu dostał, prowadził dalej, warzył piwo i sprzedawał — żelazem też i kruszczem różnym handlował, — mimo to naturę więcej żołnierską niż kupiecką mając, do konia i łowów wzdychał, a najchętniej się przyjaźnił z wojakami.

Rad więc był i Marcikowi, bo z nim mógł się do syta o tem nagadać, co mu niemi było.

Nim się jeszcze kanonika Raclawa doczekali, bo go dostać nie było łatwo, gdyż na dwór i na miasto był najslawniejszym lekarzem — Hincza doglądał, karmił i poił rannego.

Patrzali jakoś na okna Greta, gdy Hincza mrugnął na towarzysza.

— Cóż? — spytał. — O Grecie pamiętacie jeszcze? nie pozbyliście miłości dla niej?

Marcik ręką zamachnął i splunął.

— A cóż się z nią dzieje?

— No — rzekł Hincza — to się dzieje co się działo, nie zmieniła się wcale. Jaka się urodziła taką zginie. Wiecie, że była na czas jakiś

znikła z miasta. Różnie prawiono o tem, ale Paweł z Brzega przysięgał się, że niekła od tego wielkopolskiego panka do krewnych we Wrocławiu.

Wróciła już dawno — a za nią wrócili załotnicy, których może przybyło jeszcze.. Bawią się po dawnemu...

Ruszył ramionami.

— Za mąż nie idzie? — pytał Sula.

— Poszłaby dawno, gdyby chciała — odpowiedział Hincza — ale czy jej tak źle? Opiekun nie zmusza, bo sam lubi siedzieć przy niej, razem z Knrewurstem. Śmieją się ludzie, a ona z nich.

Marcik zadumał się — nie pytał więcej. Nazajutrz rano przybył kanonik Raclaw, rękę opatrzył, dał balsamy i maście i kazał pilno chodzić koło niej. Stara macocha Hinczy, niewiasta dobra i usłużna, podjęła się pomocy, a że srodze gadatliwa była i wiedziała co się kolwiek w mieście działo, Marcik się od niej o Grecie dowiedział, cokolwiek chodziło po mieście.

Baby śmiały się z niej i wygadywały na nią, że niestateczną i szaloną była, męża brać nie chcąc, aby swobody zażywać.

O podróży do Wrocławia różne baśnie plotła, że ją ludzie tłumaczyli nie najlepiej. Stryj Paweł bronił jej, a w istocie znali wszyscy, że w słowach płochą była, ale hardą i nieprzystępną.

Pora była ciepła. Marcik często w oknie od

ulicy siadywał z nudów, gdy Hinczy w domu nie było. Greta, która o nim wiedzieć musiała, bo w tej ulicy byle drzwi skrzypnęły, rozchodziło się to z końca w koniec — znalazła się raz też naprzeciw u okna.

Stała spierając się oburącz na balasach i wychyliwszy się tak, aby Sula się jej mógł dobrze przypatrzeć, oglądała się do koła. Nie postarzała wcale, ani zbrzydła w ciągu tych lat kilku — wyglądała świeżo, różowo, tylko pełniejszą niż była.

Marcikowi serce okrutnie kołatało, złość go wzięła...

Wtem wdowa jakby dopiero postrzegłszy sąsiada, skłoniła główkę i zaśpiewała mu znany głos wesołym:

— Cóżście to o starej znajomej zapomnieli? nie raczycie?

Chciał Sula bryznąć czemś ostrem, ale mu się splątał język i — sam niewiedział jak — z ręką na chuścic, bez czapki, jak stał wyskoczył oknem w ulicę — wprost do Greta.

Wstydził się potem sam pewnie, ale szatańska to była sprawa. Drżał znalazłszy się u progu znajomej izby, w której dostał taką bolesną odprawę.

U Greta nie się nie odmieniło, tylko dumna niewiasta czy lepszego bytu zapragnęła, czy jej z nudów zbytku się zachciało, mieszczańską izbę ustroiła bogacej. Na policach stały srebra, ko-

bierców nasłala i nawieszała barwnych dużo, które ze wschodu przywożono, naczyń malowanych różnych i zabawek jakby dziecięcych. Ona sama wśród tych przepychów jak królowa strojna, dumna — ani przystępu do niej.

Mało co podstarzały Kurc wurst ubrany też w nowy kaftan bramowany, w pasie pozłocistym z kaletą, przy kiju nowym z sznurkami jedwabnymi — siedział w miejscu swoim.

Przywitała go Greta jakby się nigdy źle nie rozstali.

— Do ran macie osobliwe szczęście — odezwiała się — widzę znowu was ktoś żgnął.

— To prawda, że mnie żga kto chce po ciele i po duszy — odparł Marcik — a no, przecie, jak widzicie, nie daję się...

Prosiła go sięść a Kurc wurst przysunął kubek, w który ona sama zaczęła nalewać wina, pokazując mu rękę białą całą okrytą pierścieniami.

Miała w nich upodobanie, tak, że palce niemal do pół niemi były okryte. Świeciły w nich rubiny, turkusy i różne kamyki, oczyma jak bobowe ziarna, oplatanemi złotem. Kochając się w nich, brała codzien inne, często we dnie mieniając, aby ludzie wiedzieli, że ich pełne pudła miała.

Ale Marcik więcej na ręce niż na kamienie patrzył, a ona mu się tego dnia tak wdzięczyła, jakby doprawdy serce doń miała.

Przyjść do tej czarownicy niczem było; jak

się tu znalazł Marcik, nie wiedział sam — ale teraz gdy już siedział przy niej i patrzył na nią, na rozmowę trudno mu się było zebrać. Pożerał ją oczyma, gorzał, czerwieniał, drżał, a niewiasta w chytrości swej dobrze o tem wiedząc, rumieniła się też — ktoby powiedział — z radości. Czula, że go znowu w mocy swej miała. Zręcznie poczęła rozpytywać kędy bywał, co porabiał, a Marcik gdy go na ten gościniec wprowadziła, jechał nim żwawo.

Wspomniła jej o nadanej sobie ziemi w Wieruszycach, gdzie ojciec mu tymczasem gospodarzył, chwalać się, że przecież teraz i on chudym pacholem nie był. mając gdzie głowę położyć

Chwalił się i tem, że teraz całe pułki wodził, a książę mu najważniejsze polecał sprawy.

Gdy o sobie mówiąc potrafił o to, że w Poznaniu był, gdzie kościoła dobywał, przy którym braniu zabito kanonika Mikołaja z Szamotuł, nazwisko to posłyszawszy Greta śmiać się zaczęła. Wlepila oczy w Marcika i rzekła:

— Tych z Szamotuł toście pewno nie zapomnieli!

— I pókim żyw nie zapomnę — odpowiedział Sula — bo z Wincentym mam rachunek, a co u mnie zakarbowano na kogo, nie przepada.

— Trudna to z nim sprawa — dodała Greta — Słyszałam, że ów dumny panek w łaski nrósł

u księcia szczególnie teraz, gdy mu pono z Małym Nalęczem pomógł do odebrania Poznania.

— Z panem on może być jako chce — rzekł Marcik — a ze mną inna sprawa. Pono i u was on w łaskach?

— U mnie? — śmiejąc się podchwyciła Greta. — Nie trafiliście — bo go nie cierpię!

Sula uszom nie wierzył.

— A tak, — mówiła dalej — gdybym mężczyzną była, nie wiem czyby żyw został.

— Ho? ho! tak was pokrzywdził? — zawołał Marcik.

— Nie! nie dałabym się ani jemu — ale zuchwiałym był — i uchodzić od niego musiałam, a tego mu darować nie mogę. Kto mi się pomścić pomoże, wdzięczną będę!

Spojrzała na Marcika, który zrozumiał, że do niego pila, ale z odpowiedzią nie spieszył.

— Juści — odezwał się poczekawszy. Wąsza wdzięczność smakowałaby nie mało, choćby i mnie — alem ja już próbował, że przyjaźń wąsza na pstrym koniu jeździ.

Piękna wdowa zarumieniła się i ramiona jej drgnęły.

— Czy wy, czy kto inny zemstę mi nad nim sprawi, a npokorzy go... zawsze sobie kogoś znajdę. Wyście też nie ten co dawniej.

Tem go w serce ubodła.

Milczący dotąd wylał się Sula z żałami.

— Tak ci było, — mówił — miłowałem was jak szalony, życiem bym był dał — ale po cóż ono wam, gdy ja u was tyle znaczę, co wióry na śmietniskn.

— Nie — ale tyle co i drudzy.

Zamilkli trochę, Marcik wzdychał ciężko i popijał mało, bo mu kanonik napoju zabronił.

Po chwili Greta poczęła sobie żartować z niego, dopytując jak mu się dziewczęta na Pomorzu podobają, czy wielkopolanki wolał, czy śląskie — i czy żenić się nie myślał, aby było komu w Wieruszycach gospodarzyć.

— Dajcie wy mi pokój — ofuknął Marcik, — żenić się ja nie myślę, chyba gdy już na koń nie będę mógł sięść, wezmę babę, aby ojcu i matce pomagała.

Greta śmiała się z tego ożenku na starość, a Marcik też jej oddawał tem, że i ona chyba do siwego włosa czekać będzie ze ślubem. Pożartowawszy trochę, gdy zaczęło zmierzchać, Marcik wstał, pożegnał ją i do Hinczy powrócił.

Ten zobaczywszy go bez czapki od Grety wracającego, witając śmiał się i szydził, że znowu popadł w niewolę, na co Marcik ramionami trząsł.

Przy pilnem staraniu księdza Raclawa rana prędko się bardzo goić zaczęła, i Marcik nie miał już co robić w Krakowie, ale do Grety chodzić

począwszy, gdy nałóg sobie z tego zrobił, ruszać mu się w pole nie chciało.

Wstyd dopiero poczuł, gdy mu doktor powiedział, że rany niema co dłużej pielęgnować, a byle chu-tę miękką podkładać, już i zbroję wdziąć na nią można.

Ruszyło sumienie, że powinien był do Wieruszyc pojechać do starych rodziców, a swoje też dziedzictwo na pustkowiu po kilku lecjach zobaczyć, co się z niego stało.

Wiele się tam znaleźć nie spodziewał — byle swoich starych zobaczył i pozdrowił. Wiózł też dla nich i do domu trochę lupu na wyprawach zdobytego.

I tak dnia jednego, jakby się uląkł, ażeby do Krakowa nie przyrósł, kazał nagle konie sposobić. Hinczę żegnał — do Bochni mu spieszyło.

Przez bramę otwartą w dziedzińcu konie już posiadlane widać było, i Greta zobaczyć je musiała, a domyśliła się, że jej miał zbiedz, więc oknem do Hinczy zawołała, żeby Marcika jej na pożegnanie przysłał.

W innych sprawach twardy chłop, Suła dla tej niewiasty był jak z wosku — czyniła z nim co się jej zamarzyło. Nie opierając się poszedł posłuszny.

— Cóż to? — spytała od progu. — Ja nie o wyjeździe nie wiem, a wy uciekacie? Dokąd?

— Do Wieruszyc jadę — rzekł Sula. — Od czasu jak mi je dano, nie widziałem ich.

Zakręciła główką.

— A potem?

— Pewnie książę mnie zawoła, bom służby się nie wyrzekł.

— Z mojej to się uwolnić chcecie! — rzekła szydersko.

— Przeciem dostał odprawę! — westchnął Marcik. — Tyle tylko uczynić mogę, aby wam usłużyć, iż panka z Szamotuł dumę i rogi przytrę.

Greta głowy ruchem podziękowała.

— Do strzemia — odezwała się — kazałam wam zagrzać wina... Napijcie się.

Sara z policy pozłacany kubek zdjawszy otarła go, nalala i podała z uśmiechem.

— Gdy wino wypijecie — dodała — becherek do kieszeni wściecie, aby wam w podróży i w domu przypominał Gretę...

Marcik chciał ją wpół chwycić, aby podziękować, ale mu się wyrwała zręcznie. Pił więc, pocałował kubek i za pazuchę go włożył.

Już szedł do progu patrząc na nią, gdy wdowa obejrawszy się, pochyliła ku niemu i szepnęła z cicha.

— Długo w tych Wieruszycach nie bawcie.. Ja wam i panu waszemu dobrze życzę, stryj Paweł też. Więcej powiedzieć nie mogę tylko, że tu w Krakowie będzie co może do czynienia.

Suła niespokojny chciał pytać, gdy dodała

— Nas w mieście różnych ludzi dużo jest — nie wszyscy myślą jednako.. Książę wasz ma i drubów i wrogów.. Dziś mówić więcej nie pora.. Jedźcie a wracajcie. Stryj Paweł wam dobrze życzy — rozmówicie się z nim...

Więcej z niej dobyć nie mogąc, Marcik niespokojny trochę odjechać musiał.

Gdy mimo Greta domu przejeżdżał, wdowa wychyliła się z okna i chustką białą, choć ludzie w ulicy stojący patrzali, żegnała go długo.

Sule znowu i głowa się zawróciła i serce zakolało.

— Moją musi być! — powtórzył po staremu.

II.

Z tego, co ojciec przez ludzi doń nakazywał, Marcik domyślać się nie mógł wcale, jak sobie radę dawał na nowem gospodarstwie.

Lat upłynęło kilka, stary Zbyszek jak odmłodzony się krzątał i zabiegał, mało wiele coś przecie zrobić musiał.

Marcik tak ciekawym był swych Wieruszyc, iż trochę zapomniał o zalotnicy i o tej zagadkowej przestrodze, którą go pożegnała. Podejrzanem mu było, że do Krakowa powracać kazala, a on właśnie tego sobie nie życzył, aby się jeszcze więcej nie dać spętać i wodzić babie na pasku.

Ale — sprawa księcia u niego była pierwszą zawsze.

Zbliżając się ku Wieruszycom, gdy już na go-

ścińcu od Bochni do Gdowa się znalazł, serce mu pocziwiał miłością starych rodzicieli uderzyło.

Tyle lat nie widział ich, głosu nie słyszał, uścisku macierzyńskiego nie czuł...

Gdy po raz pierwszy z ojcem tu byli, Zbyszek zapowiadał iż dworu nowego gdzieindziej stawiać nie będzie, jak na wzgórzu kędy rumowiska, gruzy i ściany ze starego zostały.

W tę więc stronę oczy się jego zwróciły i uśmiechnął się widząc, że tam coś już jak dach po nad zaroślami majaczało. Drzewo ścian nowych, które nie miało czasu poczernieć żółto przez liście przeglądało... Stał i tyn na pagórku i szopy...

Nie szukając więc ścieżyny, konia na przelaj popędził, oglądając się do koła. Gdzie dawniej chata stała i dziadowska lepianka, w odstępach od siebie zobaczył cztery chałupy z ogrodami.

Ojciec więc doszedł już był do czterech osadników na Woli czy niewoli — i było za co ręce zaczepić.

Raźniej jechał pod zarośla, które pagórek dworski otaczały.

Dwór był nie wielki, nie wspaniały, ale mocno zbudowany z drzewa, bo na mur ani czasu ni kosztu nie stało. Z jednej jego strony zęby kłód w zrab pokładzionych zostały tak nie pokryte i nie ociosane jakby do nich nową ścianę przyczepić chciano.

W pośrodku dworek miał podsień na słupkach,

drzwi jedne, a z obu stron jedno i dwa okienka. Szopy wszystkie z chróstu były plecione, niektóre mierzwą poohacane, inne polepione gliną. Stała w pośrodku studnia z żórawem, a przy niej żłób na pałach... Wrota kryte wiodły w podwórko.

Marcik się uradował — wszystko to jego było, wszystko i czterej osadnicy podedworem a może więcej gdzie w lesie.

Czeladź, którą z sobą miał otworzyła mu wrota wprzód nim kto wyszedł ze dworu. Dopiero gdy te zaskrzypiały, Chaber się pokazał w progu, krzyknął radośnie i zniknął.

Za nim w białej namiotce wybiegła stara Zbita, wołając już syna po imieniu. Zbyszka tylko nie było.

Zsiadł albo raczej skoczył Marcik biegnąc do matki, a o ojca dopytując, bo go strach ogarnął.

— Tylko co nie widać gdy wróci — zawołała Zbita wesoło. — Ho! ho! ani go poznać tak tu odmłodniał! On, co bywało pół dnia u ognia siedzi, ani go napędzić aby koni poszedł zobaczyć, teraz całe dnie po lasach się tłucze, łąk pilnuje, stadka dogląda — i tych nieszczęsnych chłopów, z którymi skaranie Boże!

— Dobrze że i tacy są! — zawołał Marcik.

— Kto wie czy lepiejby nie było ich nie mieć — poczęła matka. — Wiadoma rzecz, że dobry człek nie rad się ruszy z kąta, a ci co się do nas przybłąkali, obieżyświaty i złodzieje, że od nich jak

od nieprzyjaciół dzień i noc pilnować się trzeba. Spasają, rabują i kradną...

Jużeśmy tego Dygasa co tu dawniej siedział sołtysem zrobili i kawał gruntu dali za to, ale ni on ni my z niemi nie poradzim...

Zasypała go matka pytaniami, przerywając je narzekaniem na biedę swoją.

Marcik rozpatrywał po kątach. Ubogo było! Wszystko znova od siekiery ciosane, jeszcze prawie wyschnąć nie miało czasu. Ławy, stół, police, ognisko lichy były postawiane — ciasnota i niewygoda.

— Ale, swój dach! — mówił sobie Marcik. — Nie wypędzi nikt, i nikomu się kłaniać nie trzeba.

Rozpoczynała Zbита opowiadanie szerokie o tem, co oni tu wycierpieli w szalasie, nim dworek się pobudował — na wozie, pod namiotem, w szopce przesiadując. jak zakładając dom czarną kurę zabili starym obyczajem, pierwszą ją wpuściwszy do zrębu — gdy wpadł Zbyszek jak oszalały z radości i nuż syna ścisnąć a całować...

Prawdą było, że stary odżył, utył, choć posiłki więcej, a twarz mu się jak zmarzłe jabłko pomarszczyła.

Był teraz gadatliwszy a żwawszy.

W pierwszej chwili wszyscy mówić chcieli, nikt nie słuchał ale radowali się wszyscy, sług nie wyjmując.

Zbyszek chwalił się tem czego on dokazał —

mówił, że to były cuda. Zbita żaliła się na to, co ucierpiała. Chaber dawał uczuć, że i on niepoślednio się zasłużył. Gotowano jeść a Marcik o swoich losach prawił i nie rychło uspokajać się zaczęli, gdy już im sił zabrakło.

Spokojniej po chlebie i piwie rozpowiadano dalej. Zbyszek przy swem stał, że on przy pomocy Bożej, tyle tu zrobił iż nikt w świecie tegoby nie potrafił. Skarżył się iż osadnicy urwisze były straszne, jeden podejrzany o to, że ze zbójami trzymał i po drogach łupił, drugi pijak podchmieliwszy z siekierą się rwał do ludzi, trzeci leń i do niczego... itp.

A jednak z pomocą ich i najemnych przybłądów, było siano dla koni, półka coś obsiano na równinie nie źle zrodziło i brozek stał.. W szopie owce beczwały, było kilkoro sprzężaju i mała stadninka.

Z tego co już uczynił wnosił Zbyszek, że do wielkich dojdzie rzeczy... Skarżył się tylko, że mu niemiłosiernie dziesięcinę wytykano i osadnicy narzekali, że od granicy wpadano mu do lasów i o łakę miał miał wojnę z sąsiadem...

Na cały wieczór stało stękanie nad biedą, i mimo biedy Zbyszek był szczęśliwy, wesół, zdrow. Opowiadanie syna o wojnach i wyprawach radowało go też niezmiernie.

Dla różnych spraw stary nietylko do Bochni jeździł, ale i do Krakowa zaglądał często. Mowa

się poczęła o nowym panie, którego Marcik rad był już widzieć w koronie, gdy Poznań i Gniezno odzyskali.

Zbyszek coś głową kręcił.

— Daj mu panie Boże — rzekł — doczesną i niebieską koronę, ja mu pewnie życzę.. a no.. człek się o różnych ociera, nasłucha różności.. trwoga ogarnia.

— Czego? — spytał syn zdziwiony.

— Wrogów ma dużo — odparł stary. — Najgorzej nań niemcy biją.

Marcik wspomniał sobie to, co mu Greta na wyjeźdnem mówiła i pytać począł:

— Czegóż to im tak pod nim źle? kto się skarży?

— W Krakowie — mówił ojciec — niemcy bez mała wszyscy nań bij zabij, dla tego naprzód, że on ze wszystkich książąt najmniej zniemczał, a potem że.. jak oni gadają, skórę z nich zdziera.

— Cha! cha! — śmiał się Marcik — a z kogoż brać jeśli nie z nich? Nasz pan skarbów ani po ojen, ani po stryju, ani po bracie nie dostał — kto mu ma dać jeśli nie poddani? Przecie aby oni w pokoju handle prowadzili i bogactw nabywali, on krew swoją i naszą przelewa. I to być ma darmo?

— No, a piszcza, narzekają — wtrącił Zbyszek — i.. co gorzej, odgrają się, słyszę... Mruczą coś szoldry, że sobie chcą innego pana szukać.

Usłyszawszy to Marcik, zerwał się gniewny i kułak podniósł w górę.

— Tak śpiewają! — krzyknął — no, to my im rozpuszczonej gęby przymkniemy.

I zaczął badać ojca gdzie mógł słyszeć o tem. Zbyszek powiadał, że na rynku w Krakowie nie trudno było o tem posłyszeć, iż głośno Niemcy prawili jako im pod polskim panem żyć nie można, bo ziemianie i rycerstwo górę biorą, każdy ich szarpie, a u Łoktka łada ciura lepszy, niż pan Wójt krakowski.

— Bo inaczej być nie powinno! — rzekł Marcik.

Zbyszek choć sami byli, trwożliwie jakoś głos zniżał.

Dodał poufnie, że słuchy chodziły choć próżne może i lżywe, iż się mieszczanie już ze Ślązaki wachali, aby Łoktka wygnać z Krakowa. Drudzy obawiali się, by z Czechami nie mieli porozumienia.

Marcik zmilczał, ale w duchu sobie rzekł, że rozumiał teraz o czem go Greta przestrzegała i pomyślał, że pilniej było w Krakowie sięść niż na Pomorze spieszyć. Spisek przeciw księciu oburzał go tak, iż krwawą zemstę poprzysięgał zawczasu...

Z niewielu słów ojcowskich nabywszy strachu, Marcik ledwie parę dni się dał strzymać w Wieruszyczach — pilno mu nazad było.

Miasto znał dobrze z tych czasów, gdy jeszcze

w Łowczej siedzieli, o mieszczanach wiedział jak który myślał — w Krakowie mu więc na straży trwać trzeba było.

Na rękę zresztą mogło być, że się od Grety nie potrzebował oddalać.

Wybierał się już, gdy dzień jeden dla słoty go wstrzymano, ale niecierpliwość w nim rosła i nazajutrz do dnia, choć deszcz pruszył jeszcze, popędził spieszniej niż do Wieruszyc jechał.

Książę Łoktek pod czas był w Krakowie, chociaż go układy i spory o Pomorze, traktowania z przewrotnemi krzyżakami ciągnęły gdzieindziej.

Marcik zastać go chciał i mówić z nim o tem, co słyszał.

Zaledwie dobiwszy się po ślizgocie do Krakowa, gospodę znalazłszy jaką taką na Okolu, gdzie go nie znano, opowiedziawszy się jako ziemianin z pod Bochni, Marcik nazajutrz na zamek biegł.

Tu już teraz nie takie były pustki i zniszczenie, jak przed laty. Dwór stanął wielki, na którym księżna mieszkała, i Łoktek czasem przebywał. Trzy kościoły szybko podniosły się na Wawelu Gród do koła opatrzone był mocno i warowny.

Wprawdzie ks. Władysław i żona jego wspałości dawnej tutejszych panów nie potrzebowali dla siebie ani się starali o nią — ale dla narodu samego i obcych ludzi, musieli dwó

trzymać wielki a występować po królewsku, o koronę się kusząc.

W dni uroczyste stroiło się co żyło i wdzięwało barwę pańską, a na powszednie pan, pani i słudzy ich w prostych kożuszkach się nosili, ani ich wielkości było poznać.

Księżna Jadwiga nie zbyt już młoda, a długiem cierpieniem, gdy w Radziejowie u mieszczańna kryć się musiała znękana, nawykła do prostego obyczajaju, wołała się odziewać skromnie.

Dziećmi zajęta, dla których miłość wielką miała, sama im prawie była piastunką i służą. Nie rada zdawała je na ręce obcych, nie chętnie na chwilę odchodziła od nich.

Oboje państwo żyli, gdy mogli, jako ludzie wszyscy, nawykłszy do niedostatku, przy którym chleb smakuje czarny. Żywot też na dworze dwojaki był. Gdy sami zostawali, jak ziemianie zamożni obchodzili się chlebem powszednim, nie dbając o wystawę i zbytek. Gdy obcy ludzie na dwór ich przybyli, Legat Papiezki, poseł krzyżacki, albo ziemianie zdala — wówczas dobywano co najlepszego było i najwspanialszego. Służba szła po szaty świąteczne, Jadwiga zrzucała szarą suknę codzienną, książę przyoblekał szkarłaty.

Ledwie posłowie byli za bramą, wracali z radością do sukni i stołu zwykłego.

Ład na zamku panował, jakiego tu dawno

nie było — skinienia słuchać musiano, a od kar ności nikt wymawiać się nie śmiał.

Czasy dla księcia nastały ciężkie, — groźne niemal. Czuł, że dopóki korony nie włoży na skronie, wszyscy się przeciwko niemu targać będą. Ślężacy i niemcy po staremu drwili zeń i odgrażali się, część duchowieństwa i biskup był o niechęć podejrzany. Czuwać musiał. Miał on swych wiernych, ale swawola zawsze więcej jedna przyjaciół niż surowość i karność.

Ci co się go lękać musieli, nienawidzili skrycie. Nie miał sposobności być okrutnym, a przeczuwano, iż nieubłagany być potrafi.

Niemcy w oczy mu patrząc, czuli ciarki przechodzące po plecach.

Nakładano na nich coraz nowe pobory, cła, pożyczki, daniny, a wymówki nie było; Wójt kłaniał się posłuszny ale sztywny i milczący. Zbierały się zewsząd chmury, a książę zajęty swem Pomorzem i Krzyżakami, nie widział ich lub lekcewał.

Ranna była godzina, dziedzińce pełne ale gwarne, bo się tu cicho sprawiać musiano. — Służba i straże chodziły spokojne, poważne, uporządkowane — każdy w swem miejscu.

Stały konie panów, którzy do księcia przybyli zblizka w podwórzu, innych dwory rozmieszczone pod dachami, czeladź spoczywała po

izbach jej przeznaczonych, gdzie nikt z głodu nie marł, ale zbytku dla nikogo nie było.

Książęcy skarb i tak starczył ledwie na mnogie wydatki.

Marcik, który konie i ludzi tych co do pana przybywali zwykle i na dworze jego bawili — znał dobrze, witał się z dworzany Kasztelana Wierzbięty, Zbigniewa z Brzezia, Ratulda Gryfa Trepki zwanego Żyłą, Petrosława z Mstyszyna, młodego Prandoty z Kozieglów, Jakóba z Koniecpola, Ligęzy z Bobrku, Dąbrowy z Rostkowa i innych.

Stał tu z innemi czekając i rozglądając się po królewskim grodzie, który mało co inaczej i lepiej wyglądał nad ziemiańskie zamki. Wszystko tu z nowa wznosić było potrzeba, a Łoktek mało dbając o majestat, wołał siłę rzeczywistą, niż jej blaski i żołnierze w obozie, niż grzywny w skarbcu.

Tych też rzadko było najrzeć u niego, bo byle grosz przypłynął, pułkowników go rozchwytywali. Ciężły podatki na miastach, a Kraków stękał na nie.

Nierychło goście z zamku się rozjeżdżać zaczęli, Marcik, który tu wszystkich znał, poszedł do Stroibierza Ochmistrza księcia pytać, kiedyby z nim na osobności mógł się rozmówić.

Musiał poczekać, aż go po obiedzie bocznemi drzwiami wprowadzono do pańskiej komory.

Stał Łoktek, jakby się wychodzić wybierał,

bo nigdy nie spoczywał i znużenia nie znał — a gdy go rada i mówienie zmęczyło, szedł do żołnierzy opatrywać ich porządek, kazał pisać listy albo wołał przychodzących z doniesieniami. Tych zaś zawsze było dosyć z różnych stron, szczególnie od Pomorza, z Kujaw i W. Polski.

Zobaczywszy Marcika, uśmiechnął się książę.

— Już się wyliżał — rzekł — chwała Bogu, do pułku ci się chce?

Marcik westchnął.

— Miłościwy książę — odezwał się — choć ja w obozie chętniej służę, ale na teraz wolalbym zostać w Krakowie. Coś mnie tu niedobrego zawiewa; z Niemcami, mieszczany, ostrożnym być trzeba. — Ja się z nimi znam, wszystkiem kąty wycierał... Myślę, że mi każecie tu posiedzieć i oko na nich mieć.

— Hm — odparł książę — mnie się widzi, że ci tu pewnie jaka podwika pachnie!

— Nie.. miłościwy panie, dla żadnejbyś służby się nie wyrzekł — rzekł smutnie uśmiechnięty Marcik. — Podwika mi nie pachnie... ale Niemcy śmierdzą.

Łoktek zbliżył się doń.

— Wiesz ty co? — spytał.

— Mało, albo nic.. ale w powietrzu coś jest. Żle na nas patrzą, piszczą, kurczą się o podatki, bodają żeby co nie knuli, albo z Czechem, albo

ze Ślązakiem. Biskup licha wart, a Wójt jeszcze gorszy...

Kręcił głową, książę dumał.

— Nie bardzo mi się spiskom chce wierzyć — rzekł po chwili — a no... nie zawadzi czuwanie. Masz-li sposób na niemców, aby z nich ciągnąć co myślą... zostań... rób co chcesz. Ale beczynie nie zostając w Krakowie, podasz się w podejście, bo oni też nosy mają. Weź na zamku urząd jaki, będziesz miał co czynić... a na miasto zajrzeć dość czasu.

— Zostanę przy zamkowej straży — odezwał się Marcik. — Niech Wasza Miłość przykaże, aby mnie zbyt służbą nie wiązano, abym wolniejszym był.

Stali chwilę milezący, a Łoktek się marszczył.

— Niemcy! ci niemcy! — zamruczał — kiedy my się od nich oczyścimy... Tu i wszędzie mnie prześladują. Sasy, Brandeburzi, Krzyżacy, i po własnych miastach co ich jest jak mrówia. Wszyscy oni się z sobą znają, za jedno trzymają, a nas tak jak my ich nienawidzą.

Gdy tych słów domawiał, oznajmiono jakby wywołanych dwu Wójtów krakowskich dziedzicznych, Alberta z bratem Henrykiem.

Marcik jako do dworu należący, stanął u drzwi, aby popatrzeć i posłuchać z czem przybywali.

Szli Wójtowie poubierani jak dostojne pany, dumnie, butno, od jedwabiów i złota. Albert

starszy przodem, niosąc się jakby Wojewoda lub Kasztelan jaki.

Twarz jego ułożona, zimna, wejrzenie przenikające, miały w sobie coś obudzającego nieufność, zdradzającego niechęć.

Łoktek przyjął ich obliczem surowem.

— Miłościwy książę — odezwał się Albert czyniąc pokłon głęboki — przychodzimy do was prosić o miłosierdzie nad miastem naszym. Upadamy pod ciężarem ucisków wszelkich, a tu nam handel jeszcze Sandeczanie hamują, od miasta lada kto odrywa grunta, na których dla Miłości Waszej zakładają ogrody i zagrody... Kupiectwo jęczy i skarży się.

Książę jak w tęczę nieporuszonym wzrokiem patrząc w Wójta, dał mówić mu do końca i długo się rozwodzić, nie przerywając.

— Miejcie cierpliwość — rzekł wreszcie. — Ja bronić się muszę i utrzymywać przy swoim, oganiając nieprzyjaciół na wsze strony.

Skończy się troska moja, i dla was lepsze nastąpią czasy, miasto odetchnie, gdy ja spocznę. Dopókim ja niepewien swego, i wy lepszego bytu mieć nie możecie. Pomagajcie mi, aby się złe prędzej skończyło.

Odezwał się Henryk młodszy z grawaminami różnemi, skarżyli się na przemiany, stękali, książę stał zimny, niemal szydersko patrząc na nich.

— Mili moi — rzekł — cobyście powiedzieli,

gdybym ja też przed wami moje żale, a wiele ich słusznych mam, rozwodzić zaczął? To się na nic nie zdało, ja moje, wy swoje brzemie dźwigać musicie. — Powtarzam wam, pomóżcie mi, abym pokój miał, to go wam dam.

Albert wtrącił zaraz, że pieniędzy nie mieli i wymaganych dać nie mogą.

— Ja ich też nie mam a potrzebuję pilno — przerwał Łoktek. — Łacniej wam ich dostać niż mnie.

Twardym go tak znaleźli, iż Albert zamilkł w końcu. Stali czas jakiś jakby czekając łaski, ale nie otrzymawszy nic, pokłonili się pośpiesznie i odeszli.

Wprost u podsienia na konie pysznie poodziwane siedli i namarszczeni pojechali na miasto do Wójtowego dworu, w którym czekali na nich ci, co ich do zamku wysłali.

Stali tu u wnijsia Herman z Raciborza, Suderman, Pecold z Roźnowa, Hincza Keczer i kilku innych, kupcy najbogatsi, którzy tu rej wiedli — wszyscy niespokojni i poruszeni.

Zdała zobaczywszy Wójta, oczyma go badali pilnie, i po znaku jaki im dał Henryk domyślili się, że — powracali z niczem.

Nawykli byli dawniej do tego, że ich szanowano, ustępowano im, ważono wielce, kłaniano się — bo oni tu i ich grosze królowały.

Dopiero Łoktek pokazał im, że za gości i przy-

byszów ich miał, od których wymagał posłuszeństwa i ofiary.

Starszyzna była oburzona.

W ulicy, gdy Albert zsiadał nie poczynano rozmowy, Herman z Raciborza pierwszy pospieszył za Wójtem, za nim cisnęli się inni...

Gdy się w izbie górnej znaleźli, a Albert zwierzechnią suknię zrzucił i kołpak zdjął, obejrzał się po nich i drzwi zaraz opatrzone, aby nikt nie podsłuchiwał.

Otoczono ich kołem z ciekawością wielką. Albert musnął się po bladej twarzy ręką białą.

— Od księcia się nie spodziewać nie możemy — rzekł, — próżno byśmy się łudzili. Nie cierpi Niemców, litości nad nami mieć nie będzie, wyginiemy tu pod jego rządami, albo wynosić się musimy. U niego miecz jedynem prawem.

— Tak, — potwierdził Herman — tak! dawno potrzeba było myśleć o sobie.

Popatrzyli na siebie z pewną trwogą, Albert rękę podniósł.

— Pod przysięgą wielką żądam po was posłuszeństwa i milczenia. Innego pana potrzeba nam i mieć go musimy. Z tych polskich rządów i polskiego prawa trzeba się nwolnić.

Wszyscy zamruczeli potakująco.

— Słazaka musimy tu wprowadzić — dodał Albert.

Nikt się nie sprzeciwiał.

— Łoktek porozrywał swe siły. Byliśmy go ztąd i z Sandomierza precz wyrzucili i z kilku grodków, w których on ma przewagę, pójdzie znowu na tułaczkę.

Chociaż Wójt Albert mówił to z wielką siłą przekonania, jakby wierzył w nieochybne spełnienie swych planów — na twarzach znacznie-szej części mieszczan odmalowała się trwoga.

— Hm — zamruczał Hincza Keczer, — nim się na to ważyć będziemy, dobrze rozrachować się trzeba, bo — pan to jest zuchwały, odważny — i uparty. Sprawa z nim nie łatwa.

Wójt się uśmiechnął pogardliwie.

— Zuchwały jest — odezwał się, — ale siła jego zuchwalstwu nie równa. Dajmy tylko sobie ręce wszyscy, gotujmy ludzi do tego, że ważyć coś trzeba, aby się z niewoli wykuć.

— Pewno, że ze Ślązakiem, którymkolwiek lepiej by nam było — odezwał się Suderman. — Dziś nie to, co za Czarnego Leszka, gdyśmy tu panowali, musimy ustępować polakom. Dziś my słudzy. Język sobie nawet dla nich łamać musimy.

Albert nie słuchając, zadumał się.

— Ślázakowi — dodał — Czechy pomogą. Duchowieństwo ma też znaczenie i moc, a Biskupa Muskatę z sobą mamy. Nie daruje im Biecza. — Liczcież no, gdy się za ręce wezmą Ślázak, Czechy, Brandeburczyk, Krzyżacy — Biskup i — my.

Lik ten sprzymierzonych rozjaśnił oblicza wszy-

stkich oprócz Keczer... Pecold i Herman w dłonie uderzyli śmiejąc się.

Henryk ostrożny podszedł ku drzwiom na zwiady.

— Czasu nie potrzeba tracić — mówił Albert. Do Opola do księcia Bolesława ja sam będę docierał, z Biskupem się porozumiem, do Czech i do Krzyżaków ślać potrzeba, aby nie folgowali. Osaczym go!

Spojrzał na Hermana z Raciborza, który głową dał znak, że gotów jest na rozkazy.

Pecold z Rożnowa rzekł głośno.

— Pojadę gdzie trzeba.

Szeptano po cichu, rozdzieliwszy się na gromadki.

Narada rozpoczęta rychło się ukończyć nie mogła. Wiele drobnych rzeczy było do obmyślenia...

Nakoniec, gdy się już miano rozehodzić, brat Wójtów Henryk, rzekł do koła się zwracając:

— Nim się to spełni co powinno, klaniać się im nisko potrzeba! aby nas posądzać nie mogli — a jutro, po jutrze ostatnie grzywny nałożone na nas, zapłacić. Niech myślą, żeśmy jarzmo przyjęli.

Herman przeciw grzywnom się oburzył.

— He? — zawołał — Gardło im nienasycone zapychać! Po co? Zwłóczyć! zwłóczyć a tym czasem — —

Albert potrząsł głową.

— Trzeba coś dać, aby ich uśpić — rzekł. — Nie zapłacimy ile żądają — poniesiemy połowę, mówiąc, że więcej znaleźć nie mogliśmy.. Na drugą zyszcemy zwłokę.

— Połowę! — potwierdził Suderman. — Chciwi są, wezmą i to — nim się reszty doczekają, już ich ztąd wymiotą.

— Dobrze i tak, — rzekł Herman — a teraz — język za zębami i nisko się kłaniać, nisko, do ziemi, a małemi czynić — póki ich szatani ztąd nie wyniosą.

— Suderman — dodał Albert — pojedzie do Sandomierza, namawiać mieszczan, abytoż czynili co i my, a Opolskiemu się oddali. Henryka posłę do Sądcza, abyśmy i tych do przymierza wciągnęli.

— Z Sądeczanami trudno będzie — odezwał się Hincza (który widział więcej trudności niż inni). Radziłbym ich nie zaczepiać, bo to wrogi nasze. Byle Kraków na prawo szedł, oni pewno w lewo się odbiją. Z niemi braterstwa nie będzie.

Albert, który miał się za rozumniejszego od Keczera ramionami poruszył.

— W Sądczu my też swoich mamy — rzekł krótko — porozumiemy się. Gdyby ich nie było osiedlim umyślnie... Na Sądczu mógłby się trzymać, a i o Poznaniu nie zapomniemy, aby mu go odebrać...

Tak szeroko zakreślony plan spisku w końcu panów radnych zaślepił i wbił w dumę...

Albert zdał im się mężem zdolnym walczyć o lepszą z małym księciem.

Patrzali nań z poszanowaniem, jak na swojego pana i księcia, czując, że to co teraz objawił, dawno w nim mieszkać musiało, miało czas dojrzeć i przyszło w swej godzinie.

Nowe życie w nich wstąpiło.

Wójt Albert powiodłszy oczyma do koła, znalazł na twarzach wszystkich wyraz czci i wiary w siebie.

Jeden Hincza Keczer oczy trzymał wlepione w podłogę i dumał, ale przed większością milczał. Herman ścisnął rękę Alberta, Pecold z Roźnowa dworował mu, Suderman śmiał się w nadziei, że polaków wyżeną i czysto niemieckie zaprowadzą panowanie.

Albert Wójt był w tej chwili istotnie królem i władzą miasta, którego skinienia wszyscy słuchać byli gotowi.

Jak apostołów rozpuścił swą radę zalecając milczenie i oględność.

III.

W szynku przy browarze Szeluty w Grodzkiej ulicy, niedaleko rynku, choć piwo nie świdnickie było, ale własnego wyróbu, słynęło przecie z tegości i tłustości, a ci co z Łoktkiem w Gdańsku bywali i kosztowali tam onego sławnego jak smoła czarnego i gęstego — twierdzili, że piwo Szeluty mu nie ustępowało.

Co on tam do niego mieszał, jak je warzył, czem przyprawiał, iż tak smakowało, a nie kwaśniało nigdy i długo stojąc stawało się jak miód wytrawniejsze coraz — było jego tajemnicą. Słody sobie sam robił, zaciery własną ręką dokonywał i to tak, że sekretu jego nikt podpatrzeć nie mógł.

Do Szeluty zbierali się i tacy, co w miejskiej piwnicy bywali. Miał szynk jego dogodności wiele,

bo tuż był rzeźnik, który różnego dostarczał mięsiwa.

Najeść się i napić u niego było można. Gorzał zawsze ogień wielki w izbie szynkowej, dwie baby krzątały się głośno śmiejąc i żartując około kociołka i patelni. Najmniej jedną starał się Szeluta mieć młodą i przystojną, bo doświadczył, że to piwu dodawało smaku.

Rzadko też tu kiedy pusto bywało, a zawsze wesoło.

Gościem stałym był tu niejaki Czelustka, którego całe miasto znało, bo od lat kilkudziesięciu, dawniej na zamku, teraz w mieście błaznował. Żadne lepsze wesele nie obeszło się bez niego.

Był to czas na wesółków i błaznów, bez których miasto żadne, dwór, możny pan, uczta się nie obchodziła. Dla tego i my tak wielu ich malować musimy. Należą do obrazu wieku.

Czelustka błazen był osobliwy, dokazujący nie tylko gębą, ale całym sobą. Ręce jego, nogi, głowa chodziły nie tak jak u innych ludzi, ale wyłamały się jak u lalki, tak wykręcały się, łamały, gięły, iż nieraz się zdawało, że człek pójdzie na kawałki. Był w sobie niezmiernie chudy i długi, twarz miał pociągłą i wiecznie się śmiejącą.

Nie stąpił kroku jak inni, zawsze to nogi przed się wysuwając na sążen, to ręce wyciągając w górę, w dół zakładając je, robiąc niemi ruchy

osobliwe. Skóra na głowie całej chodziła mu jak pożyczana, uszami ruszał każdym z osobna, a gdy smutną minę zrobił, trzeba było pękać ze śmiechu.

Polak był, ale po niemiecku się doskonale wyuczył na dworze Czarnego i błaznował, jak kto zażądał, po niemiecku, czy po polsku.

Niekiedy nawet z popsutą łaciną się popisывał, ażeby okazać, jak mądry był.

Spojrzeć tylko na Czelustkę dosyć było, aby się śmiać — bo postawą obudzał wesołość. U Szeluty znali go, cieszyli się z nim goście wszyscy i bardzo być może, iż przemądry piwowar karmił go i poił, aby gdzieindziej nie chodził. Drudzy też z gości często gęsto rzucili mu coś, gdy ich dobrze ubawił.

Oprócz wszystkich innych sztuk i sztuczek, bo piał jak kogut, szczekał jak pies, śpiewał jak ptacy, mruczał jak klapouche, — Czelustka każdego człowieka minę i mowę naśladował tak, przejmując głos, że się mu wydziwić nie mogli ludzie. Przed polakami wyśmiewał Niemców, a przed Niemcami Polaków... nie szanując nawet księży, których śpiew powtarzał, jakby się go uczył.

Czelustka miał swój kąt na ławie, siadał w nim, gdy nie miał nic do roboty na ziemi, nogi podnosząc tak, że mu kolana twarz zasłaniały, a rękami obejmując się za nie. Wydawał się małeńki, bo siedzącego ledwie trzecia część była tego co stał. Tym sposobem odpoczywał, spał

nawet i zdawało się, jakby nogi trzymał by mu nie uciekły.

Suknie miał bodaj jeszcze te dawne, które mu księżna Gryfina sprawiała, wytarte, poplamione, polatane. Rodzaj kaptura brunatnego kładł na głowę i ramiona, gdy mu chłodno było i tak chodził.

Mnichy się pono niektóre na niego za ten kaptur gniewały i zdzierano mu go nieraz, ale długimi opatrzone nogami uchodził zawsze, a u Szeluty znał takie kąty, z których nikt go dobyć nie mógł. W potrzebie chował się między kadzie w browarze.

Panowie Radni niechętnie do Szeluty uczęszczali, tak samo jak ziemianie do Ratuszowej piwnicy. — Tu i tam przecież trafiały się wyjątki. Z zamku ludzie i wojskowi rychlej tu się znaleźli niż pod Ratuszem, a Marciak też zdawna, jak wiemy, do Szeluty uczęszczał.

Z mieszczan zaglądali tu ci, co nie bardzo dobrze byli z Rajcami i panem Wójtem. Jakiegolwiek panowanie, rzadko się bez sprzeczki obchodzi.

Ci co rej wodzą, radzi sobie — ci co słuchać muszą, mruczą.

U Szeluty często słowem bryzgano ostrem — choć sam gospodarz otyły, spokojny, milezący, człek z wielkim guzem na czole — nie rad był słuchać tego, sam wszystkim równo kłaniając się i będąc powolnym.

Różne plotki miejskie dla bliskości Ratusza i Dyngusza, kędy Ławnicy sądzili — najpierwej się tu dostawały na wysadki — kto komu sprzedał dworzyszcze, dwór oddał w połowie lub cały, kogo rajcy z miasta wyświecić kazali, gdzie co ukradziono, komu w nocy krwawych sińców nabito albo i łeb rozplatano — najpierwej tu się dowiedzieć było można.

Prawda, że nieraz pogłoski te były fałszywe, że nie jeden zmyślił co mu puścić było potrzeba, ale przy piwie dobrze jest zakąsić cudzą biedą.

Ta zawsze przedziwnie smakuje.

Śmiech popijano piwem czarnem, a piwo zadawano plotką... Czelustka z nich jak dobra prządka z kądzieli, wysnuwał doskonale żarty.

Zimą czasami tylko w mrozy wielkie, latem szerokie drzwi Szeluty nigdy się nie zamykały. Nie miały tego zwyczaju i na noc chcąc je zawrzeć, potrzeba było gwałt zadawać, aby się zeszły pod jeden drąg niewoli.

W pół dnia następnego, Marcik się tu znalazł pilno rozglądając, czy kogo ze znajomych nie zobaczy. Ludzi było mało i nie wielkich. Z glinianego kufła pił powoli Frycz, pisarz ratuszowy, który to gęste piwo bardzo lubił, choć gospodę niekoniecznie.

Zaledwie się tu ukazał, opadano go pytaniami,

jako wszystko wiedzącego — a zdradzić wielkie arcana i tajemnice miasta — niebezpiecznem było! Pachło to wygnaniem, a co gorzej, więzieniem wprzód.

Frycz, jak każdy człowiek co się sobie wielkim zdaje, dumny był i mocno zamknięty. Szanowano go też. Osobliwa rzecz — mąż w urzędzie Ratuszowym trzymający pióro, wielkiej miłości pono dla Niemców nie miał, choć na pół z nich pochodził.

Z Marcikiem znali się tak dawno, iż naówczas Frycz, wielkiej swej nie przewidując przyszłości, jeszcze z garnuszkim u szyi do szkoły u P. Marji chodził, Suła już się z kordzikiem kręcił po ulicach Krakowa — powiadając, że życie wszystkiego uczy, a szkoła nikogo mądrym nie uczyni.

Taki był człowiek.

Zobaczywszy pana Pisarza, Marcik się zaraz zbliżył ku niemu, choć teraz urzędnik żołnierza nie wiele sobie ważył. Spotykali się rzadko, bo drogi ich daleko się rozeszły.

Obok Frycza siedział a bodaj go i poił Niklasz z Zawichostu, kupiec, który żelaztwem handlował.

I tego znał Marcik, bo to był czas, gdy się Niklasz zalecał do Greta, jak wielu innych, ale zobaczywszy, że progi nie na jego nogi, wysokie i przepadziste, dobrowolnie poszedł precz i inną mieszczkę brzydką a bogatą zaślubił. On i teść jego Wigand z Lupczyc, mieli teraz wspólny sklep bodaj nie największy w rynku.

Żelazo miało naówczas inną wartość i inną cenę, na wsi ludzie kawalek jego niemal na równi ze srebrem cenili. Kruszec ten drogi prowadzili z różnych stron Niklasz i Wigand, bodaj z Węgier.

Niklasz z Fryczem byli już na bardzo cichej rozmowie, pochyleni głowami ku sobie, gdy Marcik się do nich przybliżył. Żołnierza, choć się obawiano i szanować musiano, ale w głębi duszy, każdy mieszczanin czuł się od niego lepszym.

Dawno go nie widywali. Frycz spytał:

— Musieliście kędyś z wojskiem bywać?

— A jńści, to moje rzemiosło — rzekł Marcik. — W Poznaniu mnie Ślązak postrzelił haniebnie, musiałem się lizać.

Popatrza!i nań, jakby śladu rany szukając, że jej nie zdradzało.

— Ah! — ozwał się Niklasz — bodaj już raz te wojny ustały... Wam jak wam, zawsze się z nich coś okroi, a naszemu handlowi drogi wojna zapiera. Po gościńcach rozboje.. Co nam czeladzi nabiją, a towaru nałupią.

— Ha!! gdzie drwa rąbią.. znacie przysłowie — rzekł Marcik. — Czy sądzicie, że nam się wojny nie naprzykrzyły? nam i wojowniczemu panu naszemu? Jemu też teraz, gdy Bóg syna dał, a ziemi ma dosyć, czas by spocząć.

Niklasz mruknął:

— A po cóż mu się chce coraz więcej?

Frycz pił i milczał.

— Bo mu się ona należy — rzekł Marcik. — Dobry to pan, ale biedny, bo jemu pokoju nie dają.

Niklasz dziwnie zamruczał.

— Już bo i nie młody!

— Pół wieku przeżył — poprawił Frycz.

— Prawda — mówił Suła, — a na nim ani lat, ani tulactwa nie widać. Dobry pan, a nie wszyscy go tak kochają jak należy.

Stało się cicho, bo rozmowa była drażliwą. Czelustka zerwał się z ławy, zbliżył, głowę wykrzywił, ręce wyłamał i zawołał głosem piskliwym.

— Żyw niech będzie drugie pół wieku — ale dajcież piwa!!

Wszyscy się rozśmiali, choć nie było z czego.

— Ja bo nie wiem jak go nie kochać — mówił Czelustka głos mieniać osobliwie. — Mieszczanie krakowscy niewiedzieliby gdzie grosze chować, a on ich miłosiernie tak podbiera jak pszczoły — —

Biedactwo by się podusiło w ulu...

Znowu się śmiano, ale Marcik mu pogroził.

— Ej ty! niezdaro!

Niklasz zapatrzył się w pulap, Frycz w kulek niby nierozumnieli.

— Zkądżebyśmy brali jeśli nie ztamtąd, gdzie jest — dodał Marcik.

Żartowali chwilę jeszcze z Czelustką, gdy Frycz może zaniepokojony obrotem, jaki rozmowa

przybrała, wstał, utarł wąsy, dał znak Niklaszowi, że mu do Dyngusza pilno — i zemknął.

Czelustka powrócił na swe siedzenie w kącie, a Marcik pozostał z Niklaszem, który nie unikał od niego.

— A cóż tam wasza Greta? — spytał.

— Jam ją rzucił — odparł żołnierz.

— Albo ona was?

— Może i to być — zaśmiał się Marcik. — Nam żołnierzom, zaloty do mieszczek się nie udają, tak jak księciu naszemu zgoda z wami.

Niklasz bystro mu spojrzał w oczy.

— Czegoż ty chcesz? Albo zgody nie ma?

— Posłuszeństwoć jest, ale miłości i zgody nie ma — mówił Sula. — Nie trza kłamać, bo wy go nie kochacie.

Niklasz się oburzył.

— Jak to? jak to? — zaczął szeplenić. — Może być, że się w mieście tacy znajdują, co szemrzą, ale więcej takich, co wolą jego niż innego.

— Chyba nie ci, w których żyłach niemiecka krew płynie — rzekł Marcik. — Z was, który jak wy, albo i Frycz polakiem na pół jest, przecie dla gromady z Niemcami trzymać musi.

— Hm — odparł cicho Niklasz, — bo ich tu więcej jest, przy nich moc i siła, a nas — garść.

Marcik napił się i zebrało mu się na szczerość.

— Żał mi was, — rzekł, — bo wy z Niemcami razem przepadniecie...

To mówiąc wstał i chciał się oddalić, gdy Niklasz za wiszący rękaw go strzymał i posadził obok siebie. Twarz miał wylękłą.

— Wiecie co? hm? — spytał cicho.

— Nie wiem nic! — odparł Sula — ale czują coś.. Uchowaj Boże niemcy się z nim zadrą — krwawo się to skończy.

Niklasz chwilę siedział zadumany smutnie.

— Kto wie? — przebaknął. — O licho nie trudno! Ale — co po tem? co po tem?

— Co potem? — odparł Marcik — źle potem będzie.. Wy, co rozum macie powinniście zapobiedz, aby licha nie nawarzyli.

Niklasz mu się do ucha nachylił.

— Albo my co wiemy? — szepnął, — albo nam co powiedzą? My — jak w jamie...

— Cożeście wy — malowani?

— Nas! garść! — powtórzył Niklasz ręce rozstawiając.

— Przecie byście na zamku znaleźli poparcie?

— Przeciwno swoim?? żebyśmy się jeszcze z sobą jedli?

Potrząsł głową.

Pili znów piwo milcząc, gdy wszedł Paweł z Brzega, i zażądał też kufia.

Kiwnął głową siedzącym i zbliżył się ku nim. Nie powiedzieli mu nic, lecz z milczenia ich wynioskował, iż coś z sobą mówić musieli, czem się z nim dzielić nie chcieli.

— Co tam słychać u Greta? — spytał Marcik.

— No — myślę, że chyba na was czeka — rzekł Paweł wesoło. — Jużście się byli rozeszli na wieki, a teraz znowu pono dobra zgoda? he?

— Kolecie mi w oczy Greta, — odparł żwawo żołnierz, — a świat cały powiada, żeście sami w synowicy rozmiłowani!

— O! o! — śmiał się okrągły Paweł. — Albo się zapieram! Miłowałbym ją, gdyby chciała — czemu nie!

Niklasz, który słuchał roztargniony, jakby nie wiedział o czem mowa, tracił Pawła chwytając za rękę.

— Wójt na zamku bywał, nie wiecie z czem powrócił?

— Owszem — rzekł Paweł — z tem wrócił, z czem pojechał. A łatwo było naprzód zgadnąć, że inaczej nie może być. Utrapiona wojna pie-niędzy ssie. Któż ma dawać jak nie my?

— Rychło i na nas skóry nie stanie! — zawołał Niklasz.

— A lepiej było za Czecha? — odparł Paweł.

Na tem się skończyło. Niklasz szepnąwszy coś na ucho Marcikowi, wstał. Ten choć piwa miał dosyć, dosiadywał. Zostali z Pawłem sam na sam; o którym wiedział z dawna Suła, iż z Wójtem i zaciętymi Niemcami, nie był w zaży-łości wielkiej.

— A co, panie Pawle, — odezwał się — zły

wiatr od zamku więcej na miasto? Słyszeliście? Wójta podejrzewają, że księciu nie życzliwy i że gotów mać.

— Nie wiem nic — odpowiedział Paweł. — Ja się o nich ocieram mało, a oni mi nie zwierzają się z niczem.

Gwarząc wyciągnęli razem w ulicę, i doszli aż na Rzeźniczą. Marcik do Grety myślał iść, on do domu.

Znalazł wdowę wielce poruszoną czemś i niepokojną, zobaczywszy Marcika, Kurewurstą precz wyprawila i zbliżyła się doń żywo.

— W samą porę przychodzicie mi, a to gotowa była ślać po was.

— Cóż za szczęście! — rozśmiał się Sula.

— Nie myślcie tylko, żebym ja za wami tęskniła — odparła nadąsana. — Wy na zamku usnęliście; nie wiecie nic, nie widzicie! Albert coś knuje...

— Myśmy o tem wiedzieli już, — rzekł Marcik — ale zawsze, Bóg zapłać za dobre słowo. Nie wiemy tylko jak radzić na to, bo się kryją i tają, nawet swoim nie wierząc.

— Mieście się na baczności! — dodała Greta.

Nie byłby może ufał bardzo Marcik przyjaźni pięknej wdowy dla swojego księcia, gdyby nie wiedział z dawna, jak nienawidziła Wójta Alberta. Mówiono, że niegdyś łaskawem okiem nań rzucała, a stary wdowiec rozmiłował się był w niej

wielce, ale dumny panek do ołtarza iść nie myślał i miłość tę za zabawkę uważał.

Greta czuła się tem mocno obrażoną i darować mu nie mogła, że ją za niegodną uznał po dzielenia jego dostojęństwa i losu.

Niecierpiała Alberta. Paweł choć pochodzeniem Ślązak, ani książąt Ślązkich, ani Czechów nie lubił.

Był on wpół polakiem.

— Tego naszego królika, pana Alberta — mówiła Greta z przejęciem wielkiem, ani wy, ani nikt nie zna jak ja!! Jemu się marzy o takim prawie do Krakowa, jak Łoktkowi do korony. Dziedziczni są panowie nasi, on i brat jego — nas za poddanych i niewolników uważają. Albert dumny jest, przebiegły i chytry, a na odwadze mu nie zbywa.

Wasz pan dla niego za mocny — musi sobie powolniejszego szukać, aby sam nad nim panował...

Mówię wam — wy go nieznacie!

— Święta to prawda, piękna Greto — odparł Marcik — i tem trudniej nam z nim, że my tylko bić się umiemy, a chytróści tropić nie potrafim...

Greta białemi ramionami poruszyła.

— Śmieszno mnie dawać wam radę, — rzekła — lecz jeśli najmniejsze podejrzenie macie — a siła przy was, czemużbyście nie mieli jego zrzucić

choć dziedziczny jest, a drugiego posadzić w jego miejsce?

— Hm — odparł tą porywcznością trochę rażony Marcik. — Pewnie, że dla nas Paweł byłby lepszym Wójtem, bo lepszym jest człowiekiem — ale pana Alberta trzeba by na czemś gorącym pochwycić, aby go ukarać.

Będziemy wietrzyli zdradę.

— Tak, — rozśmiała się Greta, — a nim wy ją zwietrzycie, on i wam i miastu licha nawarzy!!

Marcik popędliwość niewieścią policzył na karb niechęci ku Albertowi. Greta tym czasem coraz bardziej się ożywiając, prawila swoje.

— Dajcież radę co czynić? — rozśmiał się Suła.

— Ja? — zawołała wdowa, — przecież wy mężczyźni krótsze włosy, a dłuższy rozum mieć powinniście?

Od słowa do słowa ucierali się z sobą na pół żartobliwie, pół serjo.. Przebiegła niewiasta wręście, gdy Marcik dopytywał z kimby w mieście mógł się sprzymierzyć, komu zaufać — ruszając ramionami i szydząc, poczęła:

— Krótkowłosey mój panie.. Ja na waszem miejscu szukałabym w mieście takich ludzi, co siedzą w niem, a do Wójta nie należą i są mu solą w oku!!

Nie domyślny Suła ludzi takich dojrzec nie mógł, dumał i przemyślał na próżno.

Dawszy mu się trochę wymęczyć odgadywaniem — Greta krzyknęła narcście.

— Pójdźcież na Żydowską ulicę i zapytajcie o to Muszy lub Lewka — oni wam powiedzą.

Marcik dopiero teraz zrozumiał i uradował się.

— Bóg z wami! — zawołał — nie ma to jak niewiasty, gdy człowiek sam sobie rady dać nie może!

Wy wielki rozum macie!

— A wy go u mnie niespodziewaliście się znaleźć! — zapytała szydersko.

Pochlebilo jej to jednak i zbliżywszy się do Marcika, dodała ciszej.

— Z Muszą, z Joszem, z Lewkiem, z niemi wszystkimi, ile ich jest, możecie o tem mówić otwarcie. Wasza sprawa a ich — jedna. Albert nienawidzi żydów, oni jego, bo ani spraw ich nie sądzi, ani porządku między niemi nie trzyma. Oni należą do zamku. A wiedzą wszystko i nie nie ujdzie ich oka.

— Znacie bogatego Muszę? — spytała w ostatku.

Marcik wprawdzie spotykał izraelitę na zamku, ale bliżej go nie znał. Między słynącym z dostatków, bandlującym pieniędzmi i klejnotami Muszą a ubogim żołnierzem — jakiż mógł być stosunek? Przystęp do starego był trudny. Uchodził on w owym czasie za głowę wszystkich izraelitów osiadłych w Krakowie.

Na Żydowskiej ulicy dom jego stał jak twier-

dza obronna, ogromnym opasany murem. Sam on z drzewa był zbudowany, ale opasanie kosztowne z kamienia, mogło bodaj obleżenie wytrzymać, a wieści chodziły, że Musza miał chodnik podziemny, którym w razie niebezpieczeństwa mógł się wyknąć.

Tak wyuczony i podbudzony Marcik, nacieszywszy się dnia tego znowu czarnych oczu widokiem, choć mu się od Greta odchodzić nie chciało, pożegnawszy ją, na Żydowską ulicę wprost powędrował.

Musza który, jakśmy mówili, kamieniami drogami, złotem i srebrem handlował, nie był dla lada kogo przystępnym. Nie miał on ani kramu, ni sklepu. Trafiano doń przez innych, a do domu kto się chciał dostać, musiał mieć znanego przewodnika.

W sile wieku, choć nie młody, poważny, krzepki izraelita po swojemu był dumny. Odbijała się na nim potęga bogactwa, które posiadał. Żył zamknięty. Mówiono, że część większą czasu nad księgami jakimiś trawił, i złoto robić umiał.

Ubożsi izraelici, ilekroć na zamku mieli sprawę, a tam się one wszystkie rozstrzygały, bo prawu miejskiemu nie podlegali, wysyłali za sobą Muszę, który mówić, przekonać, a w potrzebie przekupić umiał.

Marcik szedł do niego nie zbyt śmiałym kro-

kiem, czując, że sprawa ta cała na jego rozum i ramiona była za ciężką.

Lecz przy całej jego prostoduszności, nie zbywało mu na przebiegłości pewnej. Ludzi poznawał instynktem i ten sam instynkt uczył go sposobu postępowania z nimi. Najtrudniej było dostać się do żyda i wiarę w nim obudzić.

Właśnie u wrót stanął i miał do nich zapukać, gdy wewnątrz posłyszał ogromny gwar, hałas, i dziwne krzyki, tonem i głosem do tych, jakie słyszał w ulicy nie podobne. Sprzeczano się namiętnie, lamentowano na pół śpiewając.. Przysłuchiwał się jeszcze, gdy wrota się uchyliły i cała gromada ludzi poubieranych dziwacznie, odartych, w kapeluszach spiczastych, z włosy z przodu długimi, a z tyłu wygolonemi, w płaszczach długich i w łachmanach, zbita w masę — klóćąc się, wywijając pięściami, miotając się gorączkowo — wyparła się z dziedzińca.

Zapalone oczy, pieniające się usta, ręce poruszane gwałtownie okazywały, że spór jakiś wielki toczyć się musiał, albo wyrok został wydany.. W pośrodku tego tłumu szedł człek blady, którego inni szarpali, pięści mu pod nos podsuwali, popychali jak skazanego winowajcę.

Cała ta gromada składała się z dzieci Izraela.

Wrótny miał za nią zawierać bramę, gdy Marek wszedł śmiało i rzekł, że z zamku jest przysłany do Muszy od księcia, aby z nim mówił.

Spoglądano nań z nieufnością, potrząsano głowami, — widocznem było, że gromada, która wyległa na ulicę, zostawiła tu po sobie wzruszenie jakieś. W głębi, w oknie domu widać było poważnego mężczyznę z czarną, nieco siwiejącą brodą, w aksamitnej czapeczce na głowie, wyglądającego za odchodzącemi. Był to Musza, który po oznajmieniu, Marcika zaraz do siebie wpuścić kazał.

Izba, w której go przyjął skromnie ale dostatnio była urządzoną. Proste kobierce okrywały ławy, sprzętu było mało — szafa jedna stała w kącie.

Milczącym ruchem ręki gospodarz wchodzącego pozdrowił.

— Jestem sługą księcia Władysława — ozwał się Marcik — wojowałem z nim długo i miłuję go. Krótko wam powiem z czem przychodzę, bo gładko mówić, a wiele nie umiem.

Mieszczanie niemcy knują coś przeciwko panu naszemu — jawna to już rzecz. Myślą pewnie sobie nowego szukać na Ślązku lub w Czechach...

Musza niby zdziwiony z lekka głową potrząsał.

— Knuje się coś — powtórzył Suła. — Książę za mało o to dba, ale my słudzy jego, i na mieście co jest pocziwych, bojemy się. Wy też do wójtowych nie należycie, powinniście pomódz nam, aby uchowaj Boże nie dopuścić zdrady.

Skończywszy podniósł nań oczy, izraelita stał spokojny, zamyślony, jakby potrzebował długiego zastanowienia się nimby odpowiedział.

— Zkąd wam ten strach przyszedł? — zapytał.

— Z miłości dla naszego pana, — rzekł Marcik, — i z tego co po mieście już gadają, nie-darmo —

— A nasz miłościwy pan, wie o tem? — rzekł Musza.

— Wie tyle co i ja — ale waży lekko.

Zyd poruszył się, ręce za pas założył, oczy w ziemię wlepił.

— A czegoż wy od nas chcecie? — pytał.

— Pomocy do wytropienia tej zdrady — odpowiedział Marcik. — Macie swych ludzi, swe drogi, łatwiej niż my wiedzieć możecie, co się u Wójta gotuje.

Musza głową potrząsał, słaby uśmieszek zarysował się na jego ustach — tak, że ledwie z pod gęstego zarostu domyślać go się było można.

I było przeciągłe milczenie.

— Za wiele od nas chcecie — rzekł w końcu izraelita. — Sami mówicie, że Wójt nam wrogiem jest. Rada i ława wszystko nieprzyjaciele, jakże my zbliżyć się i badać ich możemy?

Nie czekając na odpowiedź, gospodarz wskazał siedzenie, a sam, ocierając czoło chustą, która u pasa wisiała — mówił dalej.

— W mieście gadają? Cóż mówią? zkład ten niepokój?

— Poczciwsi mieszczanie obawiając się rozruchu i zemsty, wietrzą już spisek.. Mówią, że Albert pod pozorem handlu swoich zaufanych w różne strony rozsyła. Dzień i noc u niego obrady tajemne. Są poznaki wielkie!

Izraelita zdawał się niepewny co ma począć i mówić — wahał się.

— Cóż my możemy? — ozwał się, — my biedni żydzi? my, co się opłacać musimy, aby nam wolno było powietrzem oddychać i wody wziąć u studni, my, których raz wraz podejrzewają o zbrodnie, o czary, o bezbożność, my co się bez osobnego znaku w ulicę pokazać nie możemy? My żadnej mocy nie mamy!

— Wy — odparł Marcik rezolutnie, macie rozum, przebiegłość — i pieniądze, które najwięcej znaczą.

Musza pogardliwie ruszył ramionami.

— A tak! — rzekł — pieniądz to jest jedyny oręż nasz, którym się bronić musimy — ale też on jest największym nieprzyjacielem naszym, bo wszyscy nań czyhają.

Z przeciągającej się tak rozmowy, nie nie mogąc wydobyć dla siebie, Marcik zaczynał się już niecierpliwić, chciał mocno nacisnąć na żyda, aby mu stanowczą dał odpowiedź, gdy siwy, podo-

bnie do gospodarza ubrany mężczyzna w wysokiej czapce spiczastej wszedł do izby nie zdejmując jej i dopiero obcego ujrawszy, którego zmierzył okiem niechętnem, powoli zsunął z głowy nakrycie. Poczęła się między nim a Muszą żywa w niezrozumiałym języku rozmowa.

Przybyły starszy był znacznie, wzrostu mniejszego, brodę miał siwą, a w twarzy jego nie miłego wyrazu, źle tajona niechęć przeciwko gwiazdochwalcom się malowała.

Ze wzroków rzucanych na siebie, Marcik zmierkował, że mowa o nim była między niemi.

Był to możny też izraelita, handlujący towary wschodniemi, którego Lewkiem zwano. Ten rozmówiwszy się z gospodarzem, poruszył ramionami, czapkę swą wziął ze stołu, z ukosa spojrział na Marcika, i nie odezawszy się doń, wyszedł z izby.

Marcik zżymał się niecierpliwie.

— Mieszkacie na zamku! — spytał go Musza.

— Tak jest, do dworu księcia i załogi zamkowej należę.

— A dopytać tam o was można?

— Pytajcie o Marcika Zbyszkowego syna Sule z Wieruszyc pod Bochnią — odezwał się gość z pewną dumą — a traficie do mnie.

Izraelita badał go, słuchał, ale ogłędny, nie wygadywał się z niczem. Cekał jeszcze Sula, gdy w sieni dały się słyszeć głosy sporne, Musza

do drzwi pospieszył, otworzył je, i nakazująco odprawił natrętów, którzy natychmiast zamykając drzwi w dziedziniec wyciągnęli i tam znowu żwawo się kłócić zaczęli.

Musza widocznie był sędzią i rozjemcą dla swego ludu.

Na zapytanie powtórzone, czy się może jakiej spodziewać pomocy, Sula otrzymał odpowiedź wymijającą i obojętną.

Zmarszczył się i miał wyniść nie tając przykrości jakiej doznał, gdy izraelita począł go łagodzić, powtarzając, iż sobie sami ledwie mogli radzić, a nikomu być pomocą nie zdołają.

— Co my możemy biedni! — powtarzał — Siedzieć musimy cicho, by się nikomu nie narażić. Zamek nas nie obroni od Wójta.. a nasza swoboda taka, że nas z obu stron cisną!! Co my możemy?

Marcik już się nie oglądając na przeprowadzającego, zburzony wybiegł w ulicę...

IV.

W parę dni potem, Marcik który błądził ciągle niespokojny, bo mając coś na sercu bezczynnym wysiedzieć nie umiał; włącząc się od piwnicy ratuszowej do Szeluty, od browaru jego na ulicę Rzeźniczą i do Mikołajskiej bramy, aby podpastrywać co się w wojtowym dworze dzieje — dostał języka, iż Albert w drogę się dla jakiejś sprawy handlowej wybiera. Wiedział także, iż prawa jego ręka Herman z Raciborza, w podróż jakąś potajemnie się wybrał, a Pecold z Rożnowa także się do niej gotował.

Wszystko to byli najwięksi przyjaciele i najczynniesi pomocnicy Wójtowi, ludzie, na których pilne miał oko.

Czuł, że ten rozjazd podejrzanych nie mógł być przypadkowym.

Wiedząc, iż Greta nieprzyjazną była Wójtowi, Marcik pobiegł do niej, ażali i tam się czego nie dowie.

Nie zastał ją samą, zabawiano się u niej jak zwykle. Stryj Paweł z Brzega, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichostu, siedzieli za stołem. Piękna zawsze gospoia, rada się pośmiać, popisać z dostatkiem i gościunością, zachęcała do kubków, dolewała sama, podsuwała misy z łakociami, które na stole zastawiono.

Rozmowa toczyła się wesoła, pusta, bo Greta taką lubiła, starych i młodych na pokuszenie wystawiać, rozum im odejmować, do szalu pobudzać, było dla niej najulubieńszą rozrywką. Naostatek wydrwić tych, których wywiodła w pole i pozbyć się — wprawiało ją w humor najlepszy.

Wejście Marcika ostudziło trochę rozmowę bardzo ożywioną. Dość było jego skłopotanej twarzy, aby drugim wesele odebrać.

Greta natychmiast otarła kubek, nalala i podała mu go. Od śmiechu była jak wiśnia rumiana, a przy ustach różowych i płonącej twarzy piękne jej ząbki białe śliczniej jeszcze polyskiwały i czarne oczy paliły się ognisćiej niż zawsze.

Pierś rozkołysana poruszała rąbkiem białym, którym tak była przysłonięta, aby do przypatrywania się pobudzić. Cały w blachach i haftach

gorset sztywny kibić jej i okrągłe kształty uwydatniał na pokusę starych wielbicieli.

Choć już pierwszą świeżość młodości straciła była Greta, ponętę miała w sobie taką jeszcze, iż — począwszy od stryja — wszyscy z zachwytem w nią wlepiali oczy. Paweł z Brzega jako opiekun więcej sobie pozwalał niż inni, chwycił ją za ręce białe, przyciągał ku sobie, mrugając pokazywał Niklaszowi i Hinczy.

Bystra niewiasta poznała zaraz z oczów Marcika, iż tym razem może nie dla niej samej tu przychodził. Chciała się dowiedzieć co zrobił. Wprawdzie wszyscy tu swoi byli, lecz w szerszym kółku o drażliwych rzeczach, mówić się obawiano. Hinczy Kecera nie bardzo była pewną nawet z kim trzymał.

Mówiono o polapanych przy Łażni żydowskiej mężobójcach, których już na Ratuszu trzymano w więzieniu, a Ławnicy ich na śmierć sądzić mieli. Na cmentarzu też u P. Maryi w nocy schwytano niewiastę podejrzaną...

To były nowiny miejskie.

Marcik słuchał, ale mało go to obchodziło.

Niklasz sprzeczał się, że wdowa Erlichowa nie miała prawa do połowy dworu i jatek na Grodzkiej, a Keczer wiedział, iż w księgach stało jako mąż jej to przekazywał. Pół zaś ławki oddał za duszę swą do Ś. Trójcy.

Wśród tego paplania na piękną Gretę gorące

latały wejrzenia — śmiechy, szepty i mrugania je przerywały.

Marcikowi znudziło się tego słuchać i przerywając historję wdowy Erlichowej, o której utrzymywano, że za młodego parobka, służącego u niej za mąż wychodzić miała — rzekł nagle:

— Dokądże to pan Wójt jedzie? nie słyszeliście? Nikłasz i Paweł zerknęli ku sobie.

— Alboż jedzie? — zapytał pierwszy.

— Mówią, że wyjeżdża, no, i dużo jakoś panów Radnych w różne strony rusza — odparł Marcik, kładąc nacisk na to szyderski. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold, albo się już porozjeżdżali, lub są na wyjeździe. Czegoś im pilno bardzo.

Greta patrzyła nań, dając znaki oczyma.

— Alem ja dziś u pana Wójta był — rzekł Paweł z Brzega — o żadnej podróży mowy nie było.

— Hm — szepnął Marcik — albo to o każdej podróży się mówi?

— Juści prawda — śmiejąc się rzekł Keczer — gdy się dowiem kędy tanio towar kupić można, jadę sam, nie trąbiąc o tem na Rynku.

— Żeby nasz wielowładny pan Wójt — przerwała Greta — sam miał jechać za kupią? temu ja nie uwierzę. Dziedziczny nasz władzca za wielki pan na to, ma i bratów i swatów mnogo, co go zastąpią radzi.

Gdyby sam się w podróż puszczał! musiałby towar być wart tego.

— Nie takie to wielkie pany — sprzeciwił się Niklasz. — Nie dawno urosli. Ludzie pamiętają, gdy ojciec ich za Czarnego sam łokciem mierzył w kramiku. Dorobili się tej wielkości po zamku obronie.

— Tak, ale teraz Wójt dziedziczny drugi książe — odparła Greta. — Podoba się mu wasza albo moja głowa, każe ją ściąć i nikt mu nie powie nic. Myśmy jego ludzie. Rajców ma jakich chce. Ławników też — a miasto w kieszeni!

— O! o! o! — poczęli wszyscy wołać chórem. Jeszcze do tego nie przyszło...

— Przyszło już! — odpowiedziała Greta stanowczo. — Tak jest! Robi z nami i z miastem co chce.

— Ale my też do Rady należym — rzekł kwaśno Paweł.

— A cóż wy i Rada znaczący? — zapytała gorąco Greta. — Herman z Raciborza, Suderman, Pecold, sługi jego i zauszni rej wodzą, a wy — siano za niemi...

Wymówki te, nie podobały się gościom, pospuszczali głowy. Greta tem napastliwiej kończyła.

— Pan Wójt u nas królem!

Milczenie, które nastąpiło potem, Marcik przerwał.

— Nasza gospodyni prawdę mówi... Tak ono jest!

Goście kwaśno poruszać się zaczęli zakłopotani. — Zażartował jeden i drugi obrociwszy się do wdowy, i powynosili się. Paweł tylko pozostał.

— Ciekawa by to rzecz była, dowiedzieć się — wznowił Marcik — dokąd pan Wójt się wybiera? dokąd jego pomocnicy? Dopytać nie mogę.

— Trudno — odpowiedziała Greta — bo za czterma jechać w ślad jednemu nie ma sposobu.. ale.. przecież, gdybyś sobie wybrał z nich którego..

Marcika myśl ta tknęła, wypił wino spiesząc, spojrzał na wdowę i zegnał się.

Greta zrozumiała, iż miał jej usłuchać.

— Przychodźcie do mnie częściej — zawołała odprowadzając go do progu...

Suła był zawsze do podróży gotowym. Ruszył zaraz wprost pod dom wójtowski, pod którym przez cały dzień do nocy dużo ludzi siadywało, a drugie tyle się uwijało do koła. Chciał tu dostać języka. Wcisnął się w tłum nastawiając ucha, usiłując naprzód dowiedzieć się czy Wójt już nie ruszył.

U wrót podwórzowych czeladź rozповідаła, że dopiero wieczorem do Miechowa się wybierał.

W Miechów ten nie wierząc wcale, Marcik skoczył na zamek po konia i służki nawet nie biorąc z sobą, stanął tak u Mikołajskiej bramy na czatach, aby mu się wyjeżdżający wymknąć

nie mógł. Sądził bowiem, że najbliższymi wrotami Albert wyjechać musi.

Wieczór był szary, gdy ujrzał z kamienicy wyciągającego Wójta, ale przeciw zwyczajowi tak niepozornie przyodzianego, z orszakiem tak lichym, iż gdyby o nim nie wiedział i nie czatował nań, niepoznałby go pewnie.

Skrywszy się u wrót, Marcik wyczekał, aż się gromadka ta odbiła trochę i zwolna podążył za nią.

Musiał jednak posuwać się ostrożnie, trzymając się zdala, aby go nie poszlakowano.

Pusto było do koła. Sama godzina, którą sobie Wójt do wyjazdu wybrał, podejrzanym go czyniła.

Więcej jeszcze to, że z miasta na błonia się wydobywszy, począł przedmieścia okrążyć, snuć się jakby bez celu, jak tropiony zając kluczyć, aż wreszcie wydobył się na gościniec, który ku Pradze i do Czech prowadził.

Marcik nie poprzestał na tem; chciał być swego pewnym.

Wprawdzie dla samotnego człowieka okolice miasta po nocy nie bardzo były pewne, ale miał dobry kawał miecza u boku, obuszek u siodła, konia mocnych nóg i szparkiego chodu — postanowił ścigać dalej.

Wójt na szeroki wybrawszy się gościniec, począł mimo nocy, szybko się naprzód posuwać. Marcik trochę się zakłopotał, bo nagle z wielkiej

drogi, zwrócił Albert na małą, boczną, wiodącą do osady na gruntach miejskich założonej i do miasta należącej.

— Tropić to tropić do ostatka — rzekł w duchu Suła. — Zobaczymy czym go posadzał na próżno.

Wschodzący księżyc pogoń ułatwiał. Konia tylko musiał uśmierzać, bo zbyt mu się rwał naprzód, czując te, które ich wyścigały.

Przy słabym blasku dojrzał goniący, że Wójt skierował się ku dworowi w zaroślach i tu się zatrzymał. Ludzie pozsiadali z koni. Pochyliwszy się nieco, na jaśniejszem niebie ciemne ich postacie miał jak na dłoni.

Gonić dalej było już niebezpiecznie, stanął więc w gąszczu tak, aby nie widziany mógł zobaczyć co się tam będzie działo. Stał tak na czatach dosyć długo. Wójt mu zuiknął, konie jego tylko widać było przed chatą. W oknach jej ogień gorzał i ludzie z łuczywami obiegali do koła. Gwarno się zdawało i ludno, jakby tam na Wójta oczekiwano.

Księżyc zaczynał się podnosić — Marcik stał i czekał, w tem nagle konie ruszyły z pod dworku, ale zamiast iść w dalszą drogę, zwróciły się nazad, tak, że ludzie obok stojącego Suły przejeżdżać musieli.

Strach go ogarnął, aby mu koń jego do tamtych nie zarżał.

Położył się na nim, aby niebył spostrzeżony, lice ściagnął i czekał. Ludzie wojtowi wracali z wolna. Oko żołnierskie, nawykłe śledzić z zasadzki, dostrzegło zaraz, iż Wojtą między powracającymi nie było.

Czeladź swobodna, śmiała się i gwarzyła do Krakowa powracając.

— Głupiś — mówił jeden z pacholków do drugiego, albo to on tam jedzie gdzie mówi!

— To dokądże?

— Co ci z tego?

— A no gadaj gdyś począł.

— Jam bo słyszał, jak z bratem Henrykiem umawiali się przed stajnią, że do Pragi, czy do Ołomuńca musiał...

— A co on tam będzie kupować?

Śmiech słychać było szyderski, Marcik już więcej pochwycić nie mógł. Scieżka, którą jechali zakręcała się, znikli mu z oczów, ciężkie tylko stąpanie koni go dochodziło.

Suła całą uwagę zwrócił na chatę, około której wóz stał kryty i kilka koni dla jezdnych. Pod noc pewnie dalej ruszać nie chciano, gdyż wkrótce w chacie światła gasnąć zaczęły. Marcik z konia zsiadłszy i wolno go uwiązawszy w gąszczu do drzewa, pieszko się przekradł pod dworek, ostrożnie jak złodziej. Szczęściem, że psów przy niej nie było.

Czeladź koczowała około wielkiego wozu i koni

leżąc na ziemi. — Mógł się tak zbliżyć, iż kawałkami rozmowę jej pochwytał. Mówili o drodze do Olomuńca, i o trakcie, na który się wybierać mieli, bo wielkim gościńcem pan jechać nie chciał.

Tego już dość było dla Marcika, aby się upewnił, że z Czechami zdradę knuto, nie potrzebował dowodów więcej.

Do miasta powracać za późno było, postawszy czas jakiś, wrócił do konia i zwolna ku gościńcowi kierując, postanowił gdzie na błoniach przemocować, bo po zawarciu bram do Krakowa się już dostać nie mógł.

Rad był, że nie jeździł darmo, a choć chłodna noc do kości go przejmowała, poklusował nazad wesoło.

Na gościńcu już jakby niewiedzieć z kąd jechał, nagonił i dotarł do powracającej Wójtowej czeladzi.

Posłyszawszy za sobą tentent konia, ludzie się trochę ulękli i chwycili za obuchy bojąc się napaści jakiej, gdy Marcik ich rażno pozdrowił, i — jakby się obłąkał, o drogę pytać począł. Udawał nieświadomego sługę jednego z panów mieszkających w Krakowie, którego za potrzebą jakąś wysłano.

Czeladź wójtowa drwić z niego zaczęła. Jechali tak razem. A że pacholkiwie do karczemki miejskiej na nocleg dążyli, Sula się do nich uwią-

zał, głuptaszkiem się czyniąc, aby coś w rozmowie z nich dobyć.

W gospodzie pod miastem, zwanej Kojcem, osławionej z tego, że się w niej włóczęgi i kosterzy zbierały i ludzie z miasta wyświeceni, co się w Krakowie pokazywać nie mogli — paliło się jeszcze, hałas był w niej okrutny.

Po nocy samemu tu bezpiecznie nie było, ale przy miejskiej czeladzi, nie miał się Marcik czego lękać.

Trafili właśnie na to, gdy cała opita gawiedź karczemna, wyszła z łuczywami przed gospodę oglądać zabitego człeka, który się tam niewiedzieć jak znalazł. Widać było żółkłego już trupa, ze przyschlą na piersiach raną, głową potłuczoną i zeszpeconą, — odartego na poły. Niektórzy poznawali, że Berjasz był roztruchacz, i szeptano, że go ktoś dla pary szkap, które prowadził, zamordował.

Wypadek ten, który gdzieindziej uczynił by był wrażenie, tu jako rzecz powszednią przyjmowano — obojętnie. Gospodarz tylko, straszny zbój, z twarzą plachtami obwiązaną, tak, że mu z pod nich jedno tylko oko widać było — czarny, osmolony — mrucał, że trupa należało wywlec gdzie indziej, aby mu na szynk biedy nie naprowadził.

Przytomni targowali się już ile miał piwa postawić za tę przyjacielską usługę.

Gdy czeladź wójtowa, którą poznano czyja

była, nadciągnęła — zmieszali się trochę goście karczemni, a gospodarz stęknął, że mu jeszcze więcej piwa dać przyjdzie, aby i ci milczeli.

Marcik jak gdyby do nich należał, trzymał się swych towarzyszków. Ci, którzy go po nocy za sobą jadącego dobrze widzieć nie mogli, dopiero teraz, gdy się rozpatrzyli w rycerskiej postawie i twarzy Suły — postrzegli, że się na nim oszukali.

Koso spoglądali nań i kwaśno.

Około karczemki tej, musiał Marcik z tą gawiedzią stanąć na nocleg. Przypatrywano mu się, czyby go spoić i obedrzeć nie można, albo klótnię wywołać i napaść nań, ale czeladź wójtowa i śmiała postawa żołnierza odwiodła od tej pokusy.

Do dnia dopiero, gdy Rzeźniczą bramą pastuch bydło wyganiał w pole i wrota otworzono, wjechał Marcik sam, niepostrzeżony do miasta i dostał się na zamek, gdzie legł spocząć po męczącej podróży.

Zaspał tak dobrze, iż się nie przebudził, aż go Jurgaś wyrostek jego za rękę szarpiąc zmusił do wstania, wołając, że się do niego dowiadrywano.

Miał Marcik komorę własną na zamku, ale w niej ludzi przyjmować nie było gdzie. Zerwawszy się co prędzej chciał do studni biedz, aby

wiadrem wody wylanem na głowę orzeźwić się, gdy w progu zobaczył stojącego Muszę.

Trzeba się więc było rozmówić, choć miejsca po temu nie umiał znaleźć i wyszli oba w podwórze, gdzie się podsłuchanemi być nie lękali.

Musza wcale inaczej teraz i z pewnem zaufaniem, jak do dobrego znajomego zbliżył się do Suły.

— Wiecie, — rzekł z cicha — iż Albert Wójt wczoraj kędyś wyjechał?

Uśmiechnął się Marcik rad z siebie.

— Wiem, — odparł Marcik — a nawet dokąd i domyślał się po co. Śledziłem go trop w trop i nadedniem dopierom powrócił.

Musza trochę zdziwiony, głową pokiwał.

— Dokądże? — spytał.

— Do Ołomuńca lub do Pragi.

Żyd się uśmiechnął.

— No, więc i to wiedzieć musicie o czem ja was ostrzedz chciałem, — dodał, — że Herman z Raciborza i Pecold wyjechali także. Jeżeli on do Ołomuńca, oni pewnie do Sandomierza, Wrocławia lub Opola.

Spojrżeli sobie w oczy, Marcik głową potwierdzał. Byli z sobą teraz w zupełnem i porozumieniu i zgodzie.

Po kilku z cicha wymienionych słowach, Musza pożegnał się i odszedł, oświadczając się z gotowością na posługi.

Marcikowi spieszno było teraz do Grety. Na zamku trwożyć tem, o czem się dowiedział uważał za przedwczesne; chciał wprzód pewnym być swego.

Grete zastał, gdy się jeszcze przystrajała, bo się wybierała do kościoła iść, a gdy z domu za próg wychodziła, musiała się zawsze tak ubrać, aby na nią patrzano. Ludzie też nie tylko ją palcami wskazywali, ale szli za nią i zabiegali jej drogę. Do kościoła i Kurewurst zwykle jej towarzyszył, ale nie w błazeńskim stroju.

Greta rzuciła zasłonkę, którą właśnie upinała i zawołała na Kurewursta, aby jej Gamrota przyprowadził.

Kto był ten Gamrot, Suła nie wiedział wcale, nie znał go.

Wdowa zbliżywszy mu się do ucha, szepnęła żywo.

— Gamrota nie znacie? — nie wiecie, że brata jego Wójt Albert przez zemstę za siostrę wziąć kazał, w więzieniu trzymał i ledwie za usilną prośbą księżnej zamiast na gardle karać, z miasta wyświecić kazał. Gamrot wam przeciw Wojtowi usłuży — ja za niego stoję.

Mówiła gorączkowo i lice jej pałało.

Sprawiwszy to, odeszła nazad do porzuconego stroju i opinać się zaczęła, bo do kościoła szlubiowała się dnia tego i musiała iść.

Gamrot nadszedł w prędee.

Człek był młody, przystojny, ale z pierwszego nań wejrzenia domyślał się Marcik w nim warchoła i niespokojnego kłótnika. Niegdyś możni Gamrotowie ci, gdy się im dwór i kram spalił, zubużeli, a że brata Wójt wygnał z miasta, jemu swój upadek przypisywali.

Radzi byli się pomścić, a prócz tego młody chłopak ujęty był przez Gretę i rozkazów jej słuchał.

Żwawo na wychodnem poznała ich z sobą.

Ubogo odziany Gamrot, w fartuchu, bo gdzieś u rzemieślnika był w terminie, inaczej na chleb nie mogąc zarobić — ochotnie się Marcikowi stawił.

Gospodyni kazawszy im dzban postawić, poszeptawszy jednemu i drugiemu, na Kurewurstę skinęła i wyszła.

Siedli za stół milczący przypatrując się sobie, aż mieszczanin widząc Sulę nieskorym do rozmowy sam zaczął.

— Kazano mi służyć wam — rzekł z uśmiechem. — Może się i przydam na co? Miasto znam, dawniej i mnie więcej ludzi znało..

Westchnął i popił.

— Jeżeli co przeciwko temu zbójowi Albertowi, który nas zgnbił potrzeba począć — uderzył się dłonią po piersi.

— Ja, z wami!

I rękę mu wyciągnął.

Poczęli się badać i porozumiewać wzajemnie. Gamrot okazał się pojętnym, bystrym i ochotnym. Przedewszystkiem na prześladowcy rodziny swej zemstę wyrzucić pragnął.

— Możecie mnie posyłać gdzie zechcecie — rzekł, wślizną się wszędzie.. Tutejszy jestem, oba języki dobrze umiem, i uszy mam.

Naradzali się więc jak podzielić między siebie czuwanie nad ludźmi, gdzie się spotykać mogli, kogo Gamrot powinien był mieć na oku.

Rozmowa przeciągnęła się u dzbanka tak długo, że Greta miała czas z blizkiego powrócić kościoła i znalazła ich za stołem jeszcze. Zobaczywszy ją Gamrot uradowany, że czynnym będzie, dopił kubka, zaśmiał się i wybiegł na miasto. Zostali sami. Greta pytała go, jak mu się następczony podobał?

— Niczego, — odparł Marcik, — ale gorący bardzo i łatwo się zadzierać musi.. Z człowiekiem jak z garnkiem rozbitym (bo mało który cały) potrzeba wiedzieć dopóki w niego wody nalać aby nie wyciekła...

— Zresztą — dodał — dobry chłop — dziękuję wam za niego, zda mi się. Będzie nas kilku na oku ich trzymać, zjedzą licha, żeby się nam wymknęli...

— Wójta pilnuje najpierwej! — dodała Greta gorąco — ten jest, który wszystkich burzy...

Z tej poważnej rozmowy, Suła, któremu da-

wna miłość powracała, przeszedł do zalotów i wspomnień dawnych, do przysiąg, jako ją i teraz miłował strasznie, a wdowa się śmiała z niego.

— Miłujcie! — rzekła — miłujcie! — Kto wie, jak mnie żaden książę, ani wojewoda nie zechce, może doczekawszy siwego włosa gotowam się wam dać wziąć!

Oczy błysły Marcikowi i huknął.

— Jam bo przysiągł, że moją być musicie!!

Zmarszczyła się Greta — popatrzyła nań, ramionami potrząsała i śmiała się znowu.

Tak klóćąc się, godząc, gdy wdowa cytrę wzięwszy dla rozrywki brzdąkać i podspiewywać zaczęła, codzienny gość wszedł Paweł z Brzega. Godzina się zbliżała, gdy i inni ściągać się tu byli nawykli.

Drzwi coraz to się otwierały, i jeden ze znajomych przybywał; niosąc plotkę z ulicy.

— Wójt pojechał do Miechowa! — rzekł Niklusz, któremu się zdawało, iż nowinę przynosił.

Ktoś inny powiadał, że do Wrocławia, trzeci, że do Śącza, aby się z mieszczanami o handlowe sprawy porozumieć.

Marcikowi, który słuchał wytrzymać już było trudno dłużej.

— Dalibyście pokój tym gadkom — rzekł. — Nie za lada sprawą wasz pan Wójt nocą z miasta ruszył.., choć wy o niczem nie wiecie.

Pod nosem waszym frymarczy wami — a wyście ślepi i głusi...

Dobrego wam pana Pan Bóg dał, który wszystko, co Czarny darował, strzymał. Pokoju pod nim zażywacie — a tego wam mało!

Zdumieli się trochę słuchający tym wybuchem, nierozumiejąc co znaczy. Greta próżno znaki mu dawała, aby milczał, — piwo szumiało w głowie.

Tym czasem pomiędzy gośćmi nie wszyscy pewni byli i jednej myśli. Marcik śmiało baczając na to, prawił śmiało.

— Wójt, jak Wójt, — mówił — sam by on nie nie znać, ale ma swoich, którzy mu pomagają.. i zda się im, że naszego pana tak się łatwo pozbyć jak drugiego! Byle się nie zawiedli, a drogo tego nie przypłacili!

Wszyscy milczeli, — Suła mówił rozochocony.

— Słyszałem ja raz gadkę jedną, którą by panu Albertowi nie wadziło powtórzyć. Szedł raz człek niosąc na plecach kupione mięso, aż mu się na drodze nadarzyła grusza, na której był owoc dojrzały. Myśli tedy sobie — wleżę na nią i nabiorę do torby. Położywszy więc mięso na ziemi, nuż się drapać na gruszę — tymczasem pies przyskoczył i mięso pochwycił. Spiesząc z drzewa łakomicie spadł i kości jeszcze połamał.. Aby tak i drugim nie było, którym się gruszek chce, choć mięso mają.

Niektórzy ze słuchających śmieli się bajce ra-

dując. Tuż około Marcika siedział mieszczanin, którego Paternoster zwano. Miał to nazwisko ze szkoły jeszcze, przyłgnęło doń i zostało.

Posądzali go niektórzy, iż Wójtowym zausznikiem i szpiegiem był, a donosił mu co kędy posłyszał. Ten ułożywszy minę, począł pytać Marcika.

— Tak źle o panu Wójcie trzymacie?

— Nie kryję tego, że mu niewierzę, — odparł Sula, nie widząc, iż Greta znaki dawała, aby milczał. — A nie tylko ja, ale na zamku wszyscy nie ufają mu, i na oku mają.

Paternoster mały i giętki jak воск, układny bardzo, skrzywił się i skulił.

— Widzi mi się, — rzekł. — że to nań niechętni potwarzami ciskają. Szannje on pana i dobrze mu życzy, a że swojego miasta i ludzi swych ochrania i broni, co za dziw? Na to on jest i my go płaciemy.

Marcik zamiast odpowiedzi zaklął głośno.

Schmurzył się Paternoster.

— Nie daj Boże — szepnął, — na wysokiem miejscu siedzieć, z góry i z dołu wszystko pada na człowieka — tak i z nim.

To rzekłszy czapkę z pod stołu wyjął Paternoster, skłonił się do koła i powoli wysunął.

Ledwie się drzwi za nim zamkły, Greta nadąsana wpadła na gadulę.

— Otoś sobie języka puścił! — zawołała. — Nie wiecie, że ten siedzi u Wojta za uchem...

— Co mi tam! — odparł Suła.

— Ostrzeże go, aby się na baczności miał...

Marcik mało się zdał dbać o to.

— Niech go ostrzegają — niech robi co chce — krzyknął, — ręk naszych nie ujdzie ten zdrajca.

Paweł z Brzega markotny był także, iż się to u nich przygodziło. Wójta sobie narazić nikomu zdrowo nie było, mścił się i nękał, a Gretę i tak w posądzeniu miał, iż wrogą mu była.

Na Marcika się nachmurzyli wszyscy, co postrzegłszy czapkę nałożył i na zamek wrócił.

V.

Od opisanych wypadków kilka tygodni upłynęło, Wójt Albert ze swej tajemniczej podróży powrócił był właśnie. W Dynguszu rankiem zbierali się ławnicy i pisarz Frycz, gotował się do notowania co mu każą.

Sprawa Gamrota miała przyjść pod sąd. Zaraz po powrocie Wójta, Viertelnicy z nakazu pewnie w browarze u Lichego, zuchwalego chłopaka pochwycili, *in flagranti*, gdy niemca jakiegoś w kości ogrywał. Podpiły a zuchwały porwał się do korda, i jednego z pacholków ciał przez łeb haniebnie, drugiego ciężko ranil. Byłby może potem zdołał ujsć i z miasta się wymknąć, ale sam dowódzca straży Veit, był pogotowiu z pomocą. Sześciu się nań rzuciło, powalili, związali, zbili i z wielkim tryumfem w biały dzień

na postronku poprowadzili do ratuszowego więzienia. Wielkie zbiegowisko ludu mu towarzyszyło.

Jadący właśnie ulicą Marcik natknął się na tę knęę, poznał Gamrota swego i złość go porwała niezmierna, bo czuł, że nań czyhać musiano, aby zgubić.

Dostać się pod sąd lawników człowiekowi, którego Wójt nienawidził, a rad się był pozbyć, była to pewna śmierć. Za wielką łaską przez wstawienie się królowej, lub którego z książąt ledwie się czasem udało gardłową karę zmienić i winowajca ochłostany, wyświecony był z miasta na zawsze. Jeśli się ważył potem powrócić, choćby w orszaku książęcym lub pańskim, chwymano go i ścinano.

Za grę w kości, choćby fałszywe i za rany choćby krwawe zwykłe na gardle nie karano — ale, po schwyceniu Gamrota rozeszło się zaraz po mieście, iż niewiasta, imieniem Hannsa skarżyła go o córkę, którą on gdzieś kiedyś uwieść miał, a młynarze z Gierłachowego młyna świadczyli przeciw niemu, iż był winnym gwałtu.

Z tą złą nowiną o pojmaniu Gamrota przybiegł Marcik do Greta, która ręce zalamiała.

— Wójt powrócił — rzekła — a to najlepszy dowód, iż mu doniesiono na Gamrota, że wam służył.. Teraz wy miejcie się na baczności!

— Ho! ho! — krzyknął Suła — mnie książęcego sługę ważył by się kto tknąć!

— Jeżeliście mu solą w oku — odparła wdowa, — znajdzie on sposób i na was...

Greta z gniewu trzęsła się i bledła.

— Nieopatrzny a zuchwały człecze, — poczęła. — Słuchaj dobrej rady, nocą się po mieście sam nie włócz, bez broni nie chodź — strzeż się zwady i zgiełku.. Nasadzi na cię zbójów, a ma takich, którzy zabiwszy zbiegną przy jego pomocy do Wrocławia lub do Sandomierza.. Tam parę miesięcy pochodziwszy wolno, cichaczem wróć i nikt im słowa nie powie. A nda mu się was gdzie przydybawszy wziąć, wsadzi do ciemnicy, do której ludzkie nie dojdzie oko.

Straszyla go Greta, a Marcik obojętnie słuchał i mruczał.

— Mnie? mnie?

— Was i stu takich jak wy — dodała wdowa. — On w mieście panem. W więzieniu na ratuszu trzymać was nie będzie, ani przy Dynguszu, ani w żadnej bramie, gdzie lada kogo Viertelnicy sadzą — ma on swoje własne lochy, o których żywa dusza nie wie, a kto się do nich dostanie światła Bożego nie zobaczy.

Mówiła, a przytomny Paweł głową i ramiony potwierdzał. Sułę nie łatwo zatrwożyć było — w końcu wreszcie poszły mu cierki po skórze. Tajemne owe więzienie, gdzie zawsze gotowy kat ściąć mógł, lub udusić, a w niem pogrześć — przeraziło go.

Mówiono o studniach w domu wójtowym nie dla wody podobno robionych, kamieniem okładanych, kolcami żelaznemi najeżonych, żelaznemi zamykanych drzwiami, w które ludzi strącać miano. Miasto miało tajemnice swoje. Nie wszystkich sądzić było można i karać publicznie, za niektórymi książęta się wstawiać mogli, więc tych których się pozbyć chciano, tracono bez wieści i rozgłosu.

— Że na Gamrota czatowano, — mówiła Greta, — że z nmysłu go wzięto, a teraz mu postawią niepocziwą Hanusę, która poświadczy co każą, aby go o gardło przypawić — to pewna.. Wójta już ostrzeżono!

— Pilnujcież się wy! — powtórzyła wdowa — pilnujcie!

Po ostrzeżeniu tem markotny wrócił Suła na zamek. Około ratusza jadąc, słyszał jak rozpowiadano, iż Gamrota jeśli nie stracą, to co najmniej ochłoszczą i końmi za miasto wywloką.

Nie wiele znaczyły kości i rany, ale za gwałt o który oskarżała Hanusa, głową trzeba było płacić. Wołali już nasadzeni pod ratuszem świadkowie, iż Gamrot nałogowy Kosterą był, a miatek i dziewcząt wiele się nań skarżyło, i ludzi kaleczył ustawicznie i t. p.

Przygotowywano umysły do tego, by lada lekką karą wywinać się nie mógł. Ale, gotował się też Marcik księżną Jadwigę prosić, aby za

winowajcą wstawiła się do Wójta i życie mu ocaliła.

To prawo łaski nie było wprowadzić nigdzie zapisaniem, ale miejski sąd i rząd nigdy pośrednictwa takiego i prośby nie śmiał odrzucić. Do księżnej przystęp tak łatwy był, jak do Łoktka.

Wiele sama wycierpiawszy dobra ta pani litościwą była. Od czasu narodzenia syna, w nim żyła i w córeczce Elżbiecie, która ślicznie rosła pod jej okiem. Dwoje dzieci całą stanowiło pociechę, bo książę rzadko doma posiedział długo. Z niemi zamknięta w swych izbach, życie spokojne pędziła.

Pani już była nie młoda podówczas, wzrostu słabszego, pięknej postawy, wychudzonej twarzy wcześniej marszczkami pokrytej, tęsknego wyrazu oblicza. Lata te, gdy mąż jej zmuszony z kraju uchodzić, do Rzymu szedł za pokutę, a ona w Radziejowie ukryta, żywiona przez litościwego człowieka, tając się z sobą, żyła jak uboga niewiasta, często zmuszona rąbki własnymi prac rękami, gorzkimi łzy je oblewając, lata te ciężkie wyryły się niezatartymi piętny na jej twarzy. I choć Bóg jej małżonka powrócił, pocieszył potomstwem, posadził na stolicy, kazał się spodziewać korony — pozostała ową smutną wygnanką z oblicza.

Na zoranej pługiem żelaznym ziemi, choć ją zielone trawy i kwiaty okryją, zostają blizny na zawsze.

Dwór pani nie był wielki ani świetny. Nie-
wiasty przed nią nie nawykły były padać na ko-
lana, śmiały się do niej, mówiły do niej poufale.
W komnacie krośna, dzieci, kolebki, obrazy po-
bożne, zabawki chłopaka i dziewczynki — całą
jej były ozdobą. Kilka razy na dzień przycho-
dził kapelan Stanko odmawiać modlitwy...

Właśnie księżna trzymała na kolanach małego
Każmierza, a ksiądz czytał coś pobożnego, gdy
z pilną sprawą Marcik się oznajmił do pani.

Często się do niej udawano o łaski różne —
nie było w tem nic dziwnego.

— Miłościwa pani — odczwał się stanawszy
u drzwi Suła — ważyłem się dopraszać pilno, bo
o ludzkie idzie życie. Mieszczanie i Wójt czło-
wieka zgubić chcą, który książęciu naszemu słu-
żył, dla tego właśnie, iż mu był wiernym. Obrzu-
cono go potwarzą.. Ratować trzeba.

— Osądzony już? — spytała księżna.

— Jeśli dziś nie wydadzą wyroku, najdalej
jutro -- mówił Marcik, — bo z tem pewnie spie-
szyć będą by im ofiary z rąk nie wydarto. Niech
miłość wasza wstawi się za nim...

Kapelan Stanko o sprawę Ganirota spokojnie
rozpytywać zaczął. On zwykle bywał od księżnej
posłem do mieszczan, gdy ratować było potrzeba;
jemu i teraz powierzyła księżna ocalenie Ganirota.

Marcik gorąco błagał i mocno nastawał.

Gdy się to na zamku działo, Wójt Albert ledwie

powróciwszy już o wszystkim wiedział, co pod jego niebytność slugi wyszpiegowały i dawał stosowne rozkazy.

Z jego polecenia w istocie Gamrot był pochwycony, i co rychlój z ukaraniem go miano pospieszyć.

Zausznicy Alberta schodzili się doń na radę. Znaleźli się tu znowu przy drzwiach zanikniętych, Herman z Raciborza, Suderman, Pecold i Hincza Keczer...

Widać było z pochmurnej twarzy Wójta, że niebardzo rad z podróży swój powracał. Słuchał naprzód doniesień pomocników swych, którzy opowiadali, że w Sandomierzu mieszczanie gotowi byli pójść za krakowskimi i toż czynić co i oni.

Z Sądcza posel przywiózł bardzo słabą nadzieję, aby na mieszczan rachować można. Słuchać nawet nie chcieli namowy tych, których za nieprzyjaciół i współzawodników mieli.

Sądcz z Łoktkiem trzymał jawnie i nikogo innego znać nie chciał.

Ze Ślązka przywieziono tylko wiadomość, że Bolesław, do którego slano, pamiętny sromu jakiego doznał, gdy Łoktek przed dwudziestu kilką laty pobił go i wziął w niewolę — mścić się był gotów i pragnął odwetu. Ochotę miał wielką, ale i obawę niemałą. Znając księcia wiedział, że zapasy z nim nie przyjdą łatwo.

Chciał sam z Wójtem mówić, a upewnić się, iż go mieszczenie na sztych nie wystawia.

Z nim też nie jeszcze nie umówiono pewnego.

Gdy kolej przyszła na Wójta, który do Czech jeździł, ofiarując Kraków i inne ziemie mające się poddać Bolesławowi, jako lenno koronie Wacławów — Albert począł ociągając się.

— Nie udało mi się dokonać com zamierzał, tak jak zamierzałem. Jechałem, jak wiecie, polegając najwięcej na Ulryku Boskowiezu i jego powinowatych, iż mi u króla Jana Luksemburczyka pomogą. Tym czasem trafiłem na to, iż król właśnie wyprawę przeciw Boskowiezom przedsięwziąwszy, zamki ich zdobywał, wicherzycieli do posłuszeństwa zmuszając.

Z samym królem Janem, gniewnym, iż mu się poddani buntowali, mówić było trudno. Odgrażał się na małego księcia. Ślązaków też nie chce mieć, powiadając, iż sam przyjdzie odbierać, co mu należy.

Wójt zamilkł chwilę i dodał:

— Mniejsza o Czechów, którzy w domu mają co czynić.. Nie przyjdą rychło.. Bolesław nam starczy, tego ja skłonić muszę.

Wszyscy tedy potwierdzili, iż nikt z Bolesławem lepiej sobie nie poradzi nad Wójta, nakładając go, aby nie zwlekał.

Jechać mu trzeba było koniecznie.

— Tak, — odparł Albert — ale już mnie na

oku mają, już się domyślają czegoś, tak że kroku stąpić trudno.

Zadumał się spuściwszy głowę.

— Bądź co bądź — zakończył, — uczynię co powinienem.

Herman z Raciborza zagaił, aby w sprawie Gamrota, wysłuchać Paternostra, który czekał u wschodów. Wprowadzono go zaraz.

Potulny, uśmiechnięty, łyskający oczyma donosiciel usłużny, wdzięcząc się do wszystkich, ledwie wszedłszy począł tak szybko zdawać sprawę z podsłuchów, iż go zrozumieć nie było można. Albert kazał mu milczeć i na pytania odpowiadać.

Ciągnięto więc badania z niego, a z tych się okazało, iż Gamrot był na posługach zamkowego wysłańca, niebezpiecznego Marcika Suly, ulubieńca książęcego, który w mieście stosunki miał, chodził, podglądał, spiskował; z Pawłem z Brzegu i synowicą jego się zmawiał, u nich przesiadywał i t. p.

Paternoster wiedział o tem, że Musza żyd, służył Marcikowi, a izraelici wszyscy przeciw mieszczanom byli.

Wójt Albert wysłuchawszy, rzekł zimno, iż dla przykładu innym Gamrota na gardle ukarać było potrzeba.

Radzono aby z tem spieszyć, gdyż — domyślano się łatwo, że z zamku za nim się wstawią.

Narada ta, w której zdania były różne, prze-

ciągnęła się dosyć długo, chociaż wszyscy za Wójtem szli, a o środek tylko spierali się, jakby go potępić i natychmiast karać można.

Sprawa ta była pomniejszej wagi, i Pater-noster wkrótce nazad iść musiał, a spiskowi sam na sam radzili.

Poddanie miasta było postanowione. Ślężacy mieli podstąpić pod Kraków w chwili, gdy książę znajdować się w nim nie będzie, a załoga słaba na zamku zostanie. Księżna sama Wawelu obro-nić nie mogła, na którym Biskup miał się zna-leżeć z ludźmi swemi, i do otwarcia wrót po-magać.

Muskatę wcześniej sprowadzić chcia-no do mia-sta, a Ślężaka postawić pogotowiu, aby na dany znak przybywał.

Wiele jeszcze do czynienia, do przewidzenia i przygotowania zostawało. Niektórzy frasowali się i lękali, jeden Wójt w sprawę swą wierzył i był pewien, że ją doprowadzi do skutku.

Lekceważenie, jakie mu Łoktek okazywał, drażniło jego miłość własną, żelazna dłoń małego księcia ciążyła mu — chciał jarzmo to zrzucić ko-niecznie.

Wierzył w rozum swój i siłę, i przy pomocy Ślężaka spodziewał się pożyć przeciwnika.

Nie rychło panowie radni po jednemu wysu-wać się zaczęli ze dworu wójtowego i rozeszli po domach.

Postanowiono czasu nie tracąc — kończyć rzecz rozpoczętą.

Marcik, chociaż go Greta ostrzegała, więcej siedział w mieście niż na zamku. Ostrożniejszym był tylko, dwóch silnych pacholków prawie zawsze prowadził za sobą, i oręża nie odpasywał. Nie zmienił trybu życia wcale, chodząc do Szeluty, przesiadując w ratuszowej piwnicy, to po innych browarach, a kumając się z kim nadarzyło.

Dopóki Wójta Alberta nie było w mieście, szło mu dosyć dobrze, po powrocie jego zmieniło się z nim obejście ludzi. Unikano go i mileczano.

Siedział przeto uparcie uszu nadstawiając.

W piwnicy ratuszowej zasłyszał, że Gamrota nie rychło sądzić miano, bo mu różne kryminały zadawali ludzie, dla których świadków ściągano, Hanusza córkę sprowadzano z Bochni, młynarzy z różnych młynów powołać było trzeba, bo się rozeszli.

Gdy noc zapadała Marcik ludzi miewał przy sobie, bo Wójtowi nie wierzył. Mniej teraz mógł do Grety zaglądać, bo Paweł z Brzega ostrzegł go, iż na nich patrzą, i nie chciał mieć tak częstym gościem. Greta się nie lękała o siebie, jednakże Marcikowi zaleciła aby boczną furtaa przychodził i ludzkich oczów nie ściagał.

Trzy dni upłynęły a sprawa Gamrota uciehła jakoś, zdawała się odłożoną. Sula próbował do-

zorcę i wiertelników przekupić, aby go dopuścili choć się rozmówić z więźniem, żadną jednak ofiarą wymódl tego na nich nie mógł. Obawiali się Alberta.

W chwili, gdy Marcik ubezpieczony już się może najmniej z tego spodziewał, żyd Lewko dał mu nagle znać rano, że dnia tego Gamrota sądzić i natychmiast kaźnić miano. Nie tracąc chwili biegł Marcik na ratusz kapelana księżnej, ciągnąc za sobą — ale Wójta rozkazy, a posłuszeństwo ławników i urzędu miejskiego sprawiły, że gdy w skok na rynek przybiegli, znaleźli na nim takie zbiegowisko, tłum, wrzawę, ścisk, iż im się przebić było prawie niepodobna.

Kapelan Stanko, który dla pośpiechu konia dosiadł i Herolda pańskiego wziął za sobą z chorągwią, choć kazał nią powiewać, trąbić i wolać, ani go słuchano, ni spojrzeć nań chciano.

Łakoma zawsze krwawych widowisk, ciżba falą ogromną na rynek się wylała, którego środek tylko pozostał próżnym.

Widzieli zdala, jak z rękami wtył związanymi, wyprowadzili pacholkiwie biednego Gamrota, za którym tuż szedł kat Gregor z rękawami zakasanymi i pękiem różg w rękę. Dwóch oprawców smagało już krwawe plecy jego i pędziło winowajcę, który, jak ludzie mówili, skazany był pod różgami obiedz trzy razy rynek do koła, nimby ostateczna kara na nim dokonana została.

Kapelan Stanko niosący łaskę księżnej dobijał się z nią napróżno. Spotykał najdziwniejsze, jakby umyślnie stawione mu przeszkody. Ludzie głusi zastępowali drogę od zamku, których rozpędzić było niepodobna, wozy, kłody drzewa zagrażały ją.

Już po raz trzeci ciągnięty na sznurze winowajca, padając co chwilę na kolana, rynek obiegał, a ciżba okrutna, tej krwawej drodze męczeńskiej przyklaskiwała wrzeszcząc, gdy kapelan Stanko dobił się nareście do ratusza, ogromnym głosem wołając, że od księżnej jedzie i rozkazując się do Wójta prowadzić.

Ten stał na ratuszu w cieniu patrząc z góry, jak smagano wroga. Napróżno kapelan domagał się aby wykonanie wyroku wstrzymano.

Rozgniewany już duchowny z powagą posła książęcego i kapłana, krzyknął do Wójta, że pani domagała się ulaskawienia.

Albert wysłuchał go obojętnie i niemal lekceważąco.

— Jakąż ja mam łaskę uczynić? — zapytał. Łajdak ten przecież na śmierć skazany nie jest. Ochłószcą tego zbója, od którego w mieście spokoju nie mieli ani mieszczanie, ni niewiasty uczciwe — i końmi go za wrota wywloką — by się tu więcej nie śmiał pokazać.

Kapelan Stanko wiedział dobrze, iż to wywlekanie końmi najczęściej się uduszeniem i śmier-

cią kończyło; począł więc gwałtownie nalegać i domagać się, by chłosta natychmiast ustala. Nim Wójt przystał na to zmuszony, z okna ratuszowego chustą znać dając oprawcom, tym czasem już w drugim końcu rynku naprzeciw P. Maryi oprawcy do gotowych koni na których siedzieli przywiązali na sznurze Gamrota, zaledwie się już trzymającego na nogach, krwią oblanego i poczęli go już jak trupa wlec w oczach rozpaczającego i wołającego o pomstę do Boga kapelana.

Stali na ratuszu panowie radni przy Wójcie, równie jak on obojętni. Kapelan Stanko w którym krew się poruszyła, obrócił się do nich i zawołał.

— Patrzcie i pomnijcie, aby dnia pomsty Bożej was tak nie powywlekano za miasto.

I podniosłszy rękę ku niebu, nie patrząc już na nich Stanko wyszedł drżący od gniewu i żalości.

Marcik, który się z nim rozstał u wnijscia do ratusza, nie zsiadając z konia przebił się przez tłum w chwili właśnie, gdy oprawcy omdlałego Gamrota ciągnęli na Florjańską ulicę. Mieczem dobytym zamierzył się Marcik, krzyknął i zmusił ich, że stanęli, w tejże chwili sznur jednym przecinając zamachem.

Wtem i pacholek z ratusza nadbiegł z rozkazem, aby winowajcę nie wlokąc dalej, z miasta wyświecić.

Związany, zbiczony, potłuczony okrutnie Gamrot leżał bez zmysłów. Oprawcy pozsiadawszy z koni, mieli go pochwycić, gdy Marcik z mieczem obnażonym stojący, groźbą, że lby poucina, zmusił ich do ustąpienia.

— Księżna pani na zamek go wziąć kazala — wolal — będzie-li żyw to go wyświecicie! Wara mi go dotykać!

Czeladź Marcika znalazła się pod ręką i kilku ciurów zamkowych, ci wnet rozepchnęli oprawców, tłum odegnali i Gamrota, który dawał znaki życia wzięwszy na opończę, pospiesznie ku zamkowi ponieśli.

Marcik na straży z dobytym mieczem tuż przy nich jechał — nikomu przystępu nie dając. Wołano wprawdzie z okien ratuszowych, aby Gamrota do więzienia miejskiego oddano, ale Sula nie zważał na to, odgrazając się ciągle, że kto go się tknąć waży, przyplaci życiem.

Stojącego opodał u drzwi herolda z chorągwią przywoławszy, kazal mu ją nad niesionym rozpostrzeć i bezpieczny pod tą osłoną, do zamku z nim jechał.

W zmorzonym głodem i więzieniem, zbitym okrutnie Gamrocie tłała jeszcze życia isierka. Ludzie tamtych czasów lepiej zahartowani, więcej wytrzymać mogli — więc póki temu stało w ezlowicku zawsze nadzieja była, iż życie powróci.

Dopadwszy do wrót na Wawelu Marcik już był

bezpiecznym, bo tu stopa miejskiego pacholka stąpić nie śmiała. Ludzie książęcy w ciągłych targach z niemi z życiem by nie puścili wójto-
wego sługi.

Zaraz przy wrotach w izbie stróżów Marcik złożyć kazał pobitego, wodą go cnieć i obwiązy-
wać. Nierychło nieszczęśliwy oczy krwawe otwo-
rzył i jęk wydal żalośny.

Od stóp do głów był zbiczony, posieczona
w pasy skóra na nim w kawały popadła. Ci co
z ranami na wojnach byli obcy, przelekli się pa-
trząc nań, bo nigdy tak strasznych nie widzieli.

Posłano wnet po doktora Raclawa, aby na ra-
tunek przybywał, a tym czasem kto co umiał
i mógł, radził i robił. Mieszczanom nieprzyjaźni
zatkowi ludzie okrucieństwem Wójta do szaleń-
stwa byli zburzeni.

W mieście tymczasem tłum nie rad był, że
mu krwawe widowisko przerwano — nie docze-
kawszy się spodziewanego końca.

Szcześciem dla chciwych straszego dramatu,
pod Pilatem stał nwiązany drugi winowajca, mniej
występny rzezimieszek, któremu najgrawać się
mógł tłum i piaskiem mu sypać w oczy.

Pilat miejski (pręgierz) był to słup z obręczem
żelaznym, na kształt kuny przy kościołach wy-
stawiony. Przywiązywano doń winowajców czę-
sto przez dzień cały i dłużej zmuszonych w mę-

czarniach i sromie stać na oczach nielitościwego gminu.

Dwóch mniej winnych dnia tego bez smagania wyświecono, wiodąc ich z postronkiem na szyi pod dozorem kata i oprawców za wrota z groźbą ukarania na gardle jeśliby do miasta wrócić śmieli.

Nierychło po tem widowisku tłumy się z wolna rozplywać poczęły po sąsiednich browarach.

Większa część widzów tak samo na księżnę i na zamkową samowolę wyrzekala, jak w zamku na okrucieństwo mieszczan.

Herman z Raciborza, który dom miał w rynku i wszystkiemu się wygodnie z okna przyglądał, zżymał się przeciw mieszaniu władzy książęcej do spraw miasta.

— Wyliżcie się ten zbój, — mówił do pisarza Frycza, — a będzie-li żyw, da się nam we znaki, bo zuchwały jest, bystry, a mścić się zechce. Pacholckowie go dobić byli powinni, bo na śmierć zasłużył!

Paweł z Brzega milczący i chmurny, w czasie wykonania wyroku na ratuszu się znajdował, i nie rychło do domu wrócił. Zastal tu Grete, która już o wszystkim wiedziała, a okrutnym palala gniewem. Żal jej było Gamrota, a Marcika bezczęścila, że na czas z pomocą nie spieszył.

Napróżno stryj jej szeptał, że Wójt zawczasu ułożył tak wszystko, by od zamku zaprzecć drogę

i kapelana jadącego z łaską nie dopuścić. Greta przy swem stała, że Marcik powinien był znaleźć sposób ratowania tego, który z jego przyczyny cierpiał.

Kara w ten sposób domierzona na Gamrocie, była jakby wyzwaniem zamku. Albertowi nie zupełnie się powiodło, lecz pewnym był, iż pobity nie wyżyje.

I zginąłby pewnie marnie, gdyby nie kanonik Raclaw, który wpředce przybywszy, przy sobie go opatrywać kazał, rany zalewając balsamami, które on jeden miał. Krzyczał przewracany z boku na bok poraniony Gamrot, zaklinając by mu spokojnie umierać dano, ale go nie słuchano.

Obwiązanego potem ludzie zanieśli do izby na zamku, gdzie Marcik wziął go pod opiekę.

Pozostawiwszy tu Jurgę swego, Marcik wybrał się, choć nad wieczór do Greta, chcąc się przed nią wytłumaczyć ze wszystkiego i donieść, że Gamrota miał nadzieję przy życiu utrzymać.

Źle go wdowa przyjęła, napadłszy nań z pięściami u drzwi, co zniósłszy Sula opowiedział jej jaki spisek był uknuty, aby ich niedopuścić do ratusza.

Uspokoila się słuchając, ale odgrażała przeciw Wójtowi i jego pomocnikom okrutnie a Marcik jej w tem pomagał.

Oboje razem łajac i przeklinając zasiedzieli się do późna, i Sula się nie opatrzył, gdy noc

czarna się stała. Był sam jeden, miecz tylko mając i obuszek na obronę, w powrocie na zamek.

Greta, gdy się odchodzić zabierał, ułękła się o niego, chciała mu parobka swego dać, ale Marcik wstydził się okazać obawę, straży przyjąć nie chciał, i śmiejąc się wyszedł ze dworu.

W ulicy się znalazłszy — postrzegł dopiero, iż ciemność była tak wielka, że drogę trudno mu było dojrzeć. Oczy się wprzód po świetle do tego mroku przyzwyczaić musiały.

W większej części domostw ognie już były pogaszone, od niektórych tylko pasami padały blaski i z wnętrzków dolatywały głosy.

Z dala rozeznąć było można ciężki chód wiertników, którzy swe kwartaly obchodzili. Nie mało razy drogę tę po nocy przebywszy, Marcik śmiało posuwał się dalej, trzymając się tylko pod domami, aby suchsze przejście znaleźć po deskach.

Już był dobry kawał odszedł od dworu Greta i Pawła, gdy mu się zdalo, że po za sobą usłyszał szepty jakieś i ciche ludzi stąpanie.

Z tyłu za sobą nieprzyjaciela mieć nie nawykły — stanął rozpatrując się i czekając — lecz, wszystko niechło.

Zdalo mu się, że owe szepty kędyś z za okienicy którego dworka pochodzić musiały — i spokojnie dalej kroczył. Ulica trochę kręta, nie równa, szersza to węższa, właśnie się w jednym miejscu ciśniejszą stawiała, a Marcik ku ścianie

się zwrócił dla uniknięcia kałuży, którą postrzegł świecącą we mroku, gdy zdało mu się, iż prawie oddech ludzki przy sobie poczuł tuż blisko. Nim miał się czas odwrócić, nagle ręce mu w tył wyłamano obie, usta zawiązano chustą i już powrozami pętano za nogi.

Bezsilny rzucił się, targnął pęta z całej mocy, aby je zerwać — ale ci co go pochwycili tak byli zręczni i silni, iż na ręce go porwawszy, opończą wielką obwinęli całego o mało nieudusiwszy i nieść poczęli szybkim krokiem.

Oczy miał zasłonięte, usta zawiązane, ręce skrępowane postronkami — był więc w mocy napastników i bronić się im nie miał sposobu.

Przyszły mu na myśl i obawy Grety i powieści owe o lochach, o studni, tajemnych morderstwach Wójta Alberta; nie spodziewał się więc już dobyć z rąk oprawców, czując się zemsty ofiarą.

Westchnął tylko do Boga o duszę swą, pomyślał o ojcu i matce, obraz Grety przesunął mu się przed oczyma — czekał końca.

Niesiono go spiesźnie, ale już zmiarkować nie mógł ani w którą stronę, ani jak daleko. Okryty i związany powietrza nawet koło siebie nie czując — leżał na pół bezprzytomny.

Ludzie niosący miotali się, rzucali, biegli, stawali — nagle ścisnęli się, głowa jego uderzyła o coś twardego i rzucono go o ziemię.. Słyszał

szepty gorączkowe, spieszne, niespokojne, potem nastąpiło milczenie — drzwi zatrzaśnięto...

Gdzie się znajdował niepodobna mu było odgadnąć, pod sobą czuł tok ubity — więc musiał być w budynku jakimś.. Godzina śmierci zdawała się odroczoną...

VI.

Na zamku oczekiwano do późna powrotu Suly. Trafiło się nieraz, iż wrócić z miasta nie mógł, lub nie chciał, nie było więc nic nadzwyczajnego, iż do rana się nie zjawil.

Jurga, ulubione jego pacholę, niekładnąc się spać, ciągle prawie do wrót chodził, to w progu izby stal — wyczekując na pana. Nad rankiem dopiero położył się zdrzemnąć, spodziewając na pewno powrotu o dniu, — ale południe nadeszło i minęło a Marcika nie było.

Niespokojny Jurga, wiedząc gdzie go najczęściej szukać było potrzeba i znaleźć można, pobiegl naprzód do Greta. Gdy go wdowa zobaczyła, wprzód nim usta otworzył, krzyknęła przestraszona.

— Pan mój od wczora na zamek nie wrócił!
— wyjąknął Jurga.

Greta patrzala, niemogąc wymówić słowa. Pewną już była prawie, iż czatowano nań na drodze i ubito.

Kurewursta posłala po Pawła. Stryj nadbiegł zaraz zbladły z trwogi — nie widział ratunku — Marcik zgubiony być musiał. — Jawna rzecz, że to była sprawa Alberta. Co się działo w tem sereu Greta, którego tajemnic nikt nie znał, — Paweł patrząc na nią, zrozumieć nie mógł. Widował ją w sporach i sprzeczkach z Marcikiem, lekceważącą jego zaloty, wysmiewającą się z niego. W tej chwili, posądzal nawet, iż miłować go musiała. Twarz jej bladła, czerwieniała, mieniała się. — Strach z niej znikal, energia wystąpiła. Krzyknęła na starą slugę, aby jej szubkę podała i zaslonę, zabierała się wychodzić z domu.

— Dokąd że ty? dokąd? ledwie dosłyszonym głosem spytał Paweł

— Nie pytaj! — zbyła go krótko.

Kurewurstowi, który się z nią wybierał, kazawszy pozostać, wybiegła w ulicę, z zaciśniętymi ustami, z gorejącymi oczyma, wprost do dworu Wójtowego. Nie zawsze go tu było można zastać, przesiadywał to na Ratuszu, to po folwarkach miejskich, to młyny oglądał, to się zamykał gdzie dla narad tajemnych. — Lecz Greta miała przy sobie kaletę, nie żalowała grosza, sia-

dła na ławie, rozesłała ludzi — i w pół godziny, chłopak ją wprowadził na górę do Wójta.

Szła śmiało,—spojrzawszy tylko naprzód, czy samego zastała. — Przystąpiła doń z dumą i odwagą.

— Wiecie, po co przychodzę — odezwiała się.

Wójt pogardliwie zżył ramię ramionami.

— Tak, wiecie. Znam was i wyście mnie znać powinni.—Człowiek ten, za którym przychodzę — od lat wielk załcał się do mnie, — nie chciałam go, — ale życie mi jego potrzebne... Mówcie — żyje on?

— Kto? — odparł Wójt szydersko — bo już ci chyba o Gamrocie mowa.—Wiedziałem ja, że dużo miłośników mieliście, ale o tym — nie. Gamrota na zamku szukać, tam o nim wiedzą.

— Nie za Gamrotem przychodzę, — odpowiedziała Greta.

Wójt się nśmicechał.

— U mnie na Ratuszu siedzi tylko dwóch złodziejów i dziewczka, co swe dziecko udusiła, — rzekł szydersko.

Gniewne oczy, zaiskrzone, podniosła na niego wdowa.

— Wójeie—zakrzyczała—wiem że moc macie, ale i słabych drażnić nie trzeba.—I muchy kasaają!

— Ja się ani wilków, ni much nie boję — rzekł Albert, — marszcząc czoło, i zwołna poczynając się po izbie przechadzać. — Czego odemnie

chcecie? — pociście tu przyszli! — Miłośników i druhów dosyć macie, — jam dla was zastary — kogóż mam wam dać?

Greta w boki się wzięła.

— Marcik Suła z zamku, wczoraj był u mnie — rzekła. — Wyszedł późno, sam, w ulicy zginął — na zamku go nie ma. — Jestto ulubiony księcia sługa...

— A ja mam wiedzieć, gdzie się zapił i leży? — zawołał Wójt gniewnie. — Co mnie taka szuja obchodzi? Mnie?? Spytajcie Veita i Viertelników.

Greta piornującemi oczyma go mierzyła, — trzęsąc się z gniewu...

— Wójcie Albercie — rzekła dobitnie, — wy najlepiej wiecie, gdzie ten człowiek się podział. — Stało się z nim co — na was to spadnie!

— Ja mam za pijanicę i zbójów a włóczęgów, co się po mieście mojem tułają, odpowiadać? obruszył się Wójt. — Choćby sto razy sługą księżęcym był — co mnie do niego? — Niech na miasto po nocach, po szynkach się nie włóczy! — To mówiąc Wójt, poszedł do stołu, odwrócił się od wdowy, i chciał jej okazać, że dłużej z nią rozmawiać nie myśli. — Greta śmiała była i uparta.

— Ja was za nim proszę! — dodała głosem nie pokornym, ale nakazującym. — Ja proszę was, Wójcie Albercie. — Wy wiecie, co się z nim stało. Zabito go?

— Nie wiem!! — grzmiącym głosem zawołał Wójt. — Jam Wójtem nie głupich spraw takich! Zналиście tego cinrę. — Chodził po mieście, aby nasze tajemnice podsłuchiwać a na zamek je wynosić! — Jeżeli go gdzie porąbala hatastra — co to do mnie należy? — Ma, na co zarobił.

Coraz gniewniej poruszało się lono, — dyszała pierś podrażnionej niewiasty, — obojętność Wójta, gniew jej wzmagala.

— Tak! wołała — was to nic nie obchodzi! — Wy nie wiecie nic! — a wiedzieliście kto był i co robił. — Nie na rękę wam był — nie! — Na zamku nikogo nie posadzą, tylko was. — Macie tam już wrogów, przyczynicie ich sobie więcej. — Czy z tem wam kiedyś dobrze będzie?

Rozśmiała się. — Ja nie wiem! — Albert urągając się, — odwrócił do niej.

— O unie głowę miejcie spokojną! — rzekl. Byle miły wam żołnierz się znalazł, — a ja go wam nie dam, ni żywym, ni trupem, — bo go nie mam!

I drzwi jej wskazał.

Greta pożegnała go wejrzeniem tylko, drzwiami za sobą cisnąwszy, — wyszła. — Albert długo patrzył za nią, zadumał się i spiesznym krokiem wybiegł do izby, w której czekali zawsze pacholkowie.

Na zamku o Marcika niepokój był wielki. — Wiedzieli wszyscy, iż miał sobie zwierzone nad

miastem czuwanie,—gdy się okazało, że zniknął, natychmiast rozesłano ludzi z rozkazem, — aby wszystkie gospody, kąty, szynki, browary, łaźnie i domy — w których się ludzie zbierali — prze-trzęśli.

Jurga na swą rękę—zapłakany i podpity biedak,—przybrawszy czeladzi dwoje — włóczył się i krzątał.

W mieście, już się była wieść rozeszła głucha—że książęcego sługę porwano—czy ubito, za to,—iż swojego pana sprawy pilnował...

Na Ratuszu panowie Radni, Ławnicy, Veit chodzili niespokojnie, bo do nich wpadali ciągle z zamku nasyłani, groźno się upominając o to—że człowiek książęcy, dowódzca części załogi—przepadł na mieście.

Veit ramionami poruszał—nie wiedział o niczem. Viertełnicy, którzy tej nocy byli w ulicy Rzeźniczej, wyprzysięgali się—że tam nikogo nie spotkali i nie widzieli.

Kasztelan do Wójta poszedł z tem, iż miasto odpowiadać będzie, jeżeli się co złego stało książęcemu słudze. Wójt kazał odpowiedzieć dumnie i zuchwale.—Za pijaniców i kosterów—co się po szynkach włóczą—miasto odpowiadać nie może.

Gdy się to działo — młody ziemianin z Sieradzkiego, ze wsi Brzega, nad Pilicą, imieniem Zbrozek, z rodu Jastrzębców, którego pan ojciec przysłał był do Krakowa, za kupnem sukna

i bławatów, — słysząc, jak u Szeluty rozpowiadano o Marciku — bacznie bardzo przysłuchiwać się począł.

Zbrożek z Brzega, chłopak był ledwie pod wąsem, krew prawa, stara, ziemiańska, gorąca. Wyrosły jak dębeczak, w ramionach krzepki jak żubr, zdrów, z okiem szrzelistem, wesół, rad życiu—ciekaw był wszystkiego...

Przysłany po raz pierwszy do Krakowa, dla wyprawy siostrzynej i przyborów do wesela—że nigdy na takich godach miejskich nie bywał, jakie tu znalazł, nie mógł wytrzymać, aby wszędzie nie zajrzał i każdej rzeczy, dla siebie nowej—nie spróbował.

Więc i po gospodach i gdzie gęźby słyhać było, a wesele — cisnął się rad. O znajomości w Krakowie nie było trudno. Jeden go mieszcza-
nin zaprosił na ucztę, drugi na zrękowiny córki. Tam niewiast napatrzył pięknych — a zalotnych jak Greta, ówdzie ludzi dobrej myśli. Czas mu wesoło schodził w mieście i nad Pilicę nie spieszno było... Gdyby ojciec pytał, miał gotowe tłumaczenie—że koń zakulał.

Był człek, choć po młodemu rad się zaba-
wiać, razem też wielkiego serca.

Gdy u Szeluty Jurga i czeladź zamkowa roz-
powiadać zaczęła—iż pan ich zginął z ulicy Rze-
źniczej, wyszedłszy od wdowy — Zbrożek pilno
ucha nastawił.

— Z ulicy Rzeźniczej szedł? — spytał.

— Tak, od Arnoldowej wdowy — odpowiedziano.

— Kto was tam wie — jaka wdowa! począł Zbrozek — ale dosyć że z Rzeźniczej ulicy. — Ja wam może coś powiem, bom ja wczoraj późno na koniu stał u rogu tej ulicy, gdzie mnie jedna wasza jejmość obiecała wpuścić, a potem z okna wydrwiwała — iż jej zawierzyłem. — Stałem zły jak djabeł. Aż o to — patrzę, — historia się dzieje.

Wychodzi z bramy. — a mógłbym pokazać z której, — człek słuszny, i — jak mi się zdalo po nocy, rycerskiej postawy — kroczy sobie powoli. Patrzę nań, choć we mroku był. Tuż za nim suną ludzie ostrożnie, jakby się nań zasadzili. Nastawilem ucha, — co to będzie. Idzie on, to przystanie, to powoli, dalej się posuwa, zbóje za nim na palcach, on ich ani słyszy, ani widzi... Myślałem żarty stroją.. Przyskoczyli doń tuż i nagle — krzyknąć nawet nie miał czasu, jak go chwycą, zakneblowali czy co, obrzucili płaszczem, związali, porwali na ręce — niosą.

Dopierom zmiarkował, że to nie pśota, ani żadna igraszka, począłem biedz za nimi w trop...

Ci ze strachu jak zaczął kręcić po zaułkach, po oplotkach, a niosą nie rzucając tego czleka, a niosą. Poszli takimi wertepami, że mnie z koniem za nimi wywinać się było nie sposób..

Tylkom widział, jak za Okolem do pustego jakiegoś budynku dopadli i tu mi — znikli.

— I nie koniec — dodał Zbrożek, — bo dopatrzywszy, że ja nadażam za nimi na upartego, wybiegli z tej szopy i rozproszyli się w różne strony. . . A co się z tym niesionym stało. . . nie wiem.

Ciekawość mnie brała, więc się długo do tego budynku dobijałem — ale jakby pusty był. . . Nie odzwalał się nikt i zdaje się, że w nim chyba ludzi nie ma. . . bom tam trwał prawie do dnia, myśląc, że lotry powrócą. . . a no, i dzień się zrobił, nikogo nie doczekałem.

Wszyscy pilno Zbrożka słuchali — aż gdy skończył, przyskoczył Jurga, na miłość Boską zaklinając, aby im ten budynek o którym mówił, ukazał.

Zbrożek nie pewny był, czy go pozna, czy trafi na drogę, którą jechał, ale widząc dużo ludzi rozgorączkowanych, proszących, zrywających się, na konia siadł i sam nabrawszy ochoty, ruszył szukać miejsca w którym był nocą.

Wypadli tedy, ich kilkun, a ciekawej gawiedzi kilkunastu, szukać, prawdę rzec — wiatru w polu.

Budynków, podobnych do tego o którym mówił Zbrożek, była niezmierna moc. Przypominał sobie tylko, iż przy tamtym wierzba stała pooblamywana, stara. Błądzili, błądzili po za Okolem, aż Zbrożek krzyknął:

— A ot tu — ot jest! jak Bóg miły! poznaje —
Wierzba stoi!

Jurga z innemi do drzwi się rzucili. —

Szopka była na błoniu do miasta należąca, w której wiertelnicy siano dla koni chowali i różny sprzęt swój, dobrze zbudowana z drzewa i na kłodę zamknięta.

Nie było sposobu otworzyć, musieli wrota łamać — choć mogli z tem biedy napytać. Ludzi dosyć było, wzięli się razem do kłody nie pytając, i odbili.

W środku ciemno było. Jurga pierwszy wskoczył wewnątrz, szukając, patrząc, i wnet krzyknął, bo pod nogami ujrzał jakby jakieś zwierzę ogromne, które się słabo poruszało.

Dopiero ochłonawszy ze strachu dojrzał, że coś żywego było opończą obmotanego. Lękali się rozwijać, bo lichy wiedziało, co tam siedzieć mogło, aż jeden noża dobywszy sukno przeciął, i w środku zobaczyli związanego człowieka. Jurga po odzieży poznawszy swego pana, padł na kolana przy nim.

On ci to był. Leżał już tylko żyw z gębą zakneblowaną, siny, z żyłami naprężonemi na czole, nie mogąc się ruszyć, bo ręce i nogi miał powrozami pokrępowane...

Wszyscy jak jeden ze zgrozą i radością krzyczeć zaczęli, a Zbrozek, który więcej od nich wszystkich miał przytomności, wziął się co żywiej

do Marcika, sznury rozcinając, gębę rozwiązując i po wodę ślać, aby go odlać...

Sula mówić już nie mógł, długa męczarnia nocna że go nie dobiła, winien był silnej naturze swojej. Złamany był jednak i tak osłabły, że choć go rozplątano, zwolniono, o swej mocy dźwignąć się nie mógł.

Zbrozek był mu pomocą wielką, bo reszta gawiedzi zaraz się z wielką nowiną o tem odkryciu rozproszyła po mieście.

Co prędzej potrzeba było biednego ratować, położyć, napoić, nakarmić; więc Zbrozek konia swojego podprowadził, we dwu z Jurgą wsadzili go nań... Chłopak sukno w które znaleźli go obwiniętym zabrał jako lice, i podtrzymując osłabłego pod ręce, ndali się do pierwszej gospody, jaka w pobliżu się znalazła.

Gospodynią w niej była wdowa Kanczorka, do której różni się ludzie schodzili, bo piękne dwie córki miała, które razem z nią gościom posługiwały. Nie w najlepszej dom ten był sławie, bo Kaśka i Magda jak śliczne były, tak śmiałe i wyszczekane, a choć różnie o nich i o matce mówiono, którą wdową mianowano, lubo najstarsi ludzie nigdy o mężu jej nie słyszeli — chodziło tu mnóstwo i księży i klechów, mieszczan i wszelkiego zawołania ludzi. Szynkowała miód i piwo, a znalazło się i co zjeść u niej. Wieczorami gędzba

bywała, śpiewy, tany, nie rzadko i guzy, bo około płochych dziewczyn ludzie się rozbijali.

Kanczorkę tę już kilka razy na ratusz ciągnano, że się tam u niej różne rzeczy działy — ale wielu znacznych ludzi, a nawet z kapituły niektórzy bronili jej, rękując, że pocziwą była i — gospoda stała otworem.

Wesołej gospodyni i jej córkom gość taki poślęczony niekoniecznie był miłym, lecz za to Zbrozek ehlopak młody, żwawy, dobrze nabita potrząsający kaletą umiał je sobie pozyskać, a Jurga opowiadał o panu, że na zamku miał znaczne dowództwo. Mnsieli więc ich przyjąć. Kaśka pobiegła zaraz polewkę zagrzać dla osłabłego. Położono go na łóżku starej Kanczorki, która w początku za wielką to obrazę sobie poczytywała, żeby na niem miał mężczyzna leguć, ale zobaczywszy grosz — zmiękła.

Ciekawy to był dom, stojący niby w nowej uliczce, zdala od drogi w sadzie ukryty, budowania staroświeckiego. Dołem miał mur gruby dosyć wysoko podniesiony, w którym baby miały schowania różne, a na nim dopiero z belek budowa w słupach, z dachem wysokim stała, z oknami gęstemi i drewnianym kogutem na dachu.

Wiechy przy nim nie było, tylko w ogrodzie na drągu koło złamane.

W środku z sieni izba była długa, duża jak zwykle po szynkach, w niej ogień i kuchnia, ławy

i stoły. Z tej wychód do drugiej mniejszej prowadził, przeznaczonej dla lepszych gości, a dalej komory jedna i druga, kędy baby sypiały, osobno matka, osobno córki. Po Kanczorze i po nich widać było dostatku dosyć, bo i stara ubrana była czysto, a w uszu miała kolce złote i córki chodziły postrojone, w pasach, w spódnicach z sukna cienkiego bramowanych, w cienkich gzałach szytych, koralach i paciorkach, które im piersi okrywały, w wieńcach z trzęsidlami złoceniem, i kosach przeplatanych wstęgami. A pierścieni na palcach miały mnóstwo.

Starsza i młodsza głosy miały krzykliwe, śmiały się nieustannie, a oczyma rzucały zuchwale, jakby się nikogo w świecie nie bały.

Gospoda, gdy do niej weszli nie była pustą; za stołem siedział wikarynsz z jakiegoś kościoła w czapce wysokiej, człek lat średnich, ostro patrzący z krzywą głową; dwu kupeczyków z miasta, młodzieź rozochociona, podżyły rzeźnik, który miał pono w opiece jejność, jako powinowaty, i kilku żołnierzy z zamkowej załogi.

Gdy wprowadzono Marcika, a rozniosła się zaraz z kąd i co za jeden był, poczęli się wszyscy do izby cisnąć, w której go na łóżku umieścił Zbrozek, dopytując. Jurga ledwie się mógł pozbyć natrętów. Z miasta dokąd ludzie zanieśli o nim wiadomość, przybywali też ciekawi. W gospodzie zrobiło się ciasno i wrzawliwo, bo dziewczęta

śmiały się i krzyczały tem głośniejsz, im więcej ludzi ich słuchało.

Zbrożek, który opowiedział Sule w jaki sposób go ocalił, nawzajem dopytać się od niego chciał, jakim sposobem mogły go pochwycić łotrzyki owe. Trudno było co dobyć z niego.

— Mnie, — odpowiadał Marcik, — we łbie się wszystko pomięszało, ledwie się mogę opamiętać jak to było. Z nienacka rzucili się i naprzód głębi mi zatkali żem tchnąć nie mógł, dalej i oczy zakryli, ręce i nogi skrępowali. Czułem tylko, że niosą mnie i rzucają. Pewna to, że gdyby nie wy, coście ich gnać zaczęli i nastraszyli — już by mnie żywego na świecie nie było.

Do ucha zaś pochyliwszy się zeznał Zbrożkowi, iż nie kto inny, tylko Wójt i niemcy mieszczenie w ten sposób się go pozbyć chcieli.

— Żeby was, miły bracie — dodał — Bóg nie przyniósł na mój ratunek — skończyłbym żywot mizernie. A nie żałby mi go było, bom w nim wiele szczęścia nie zaznał, ale panu miłościwemu radbym służył — bom jemu trochę potrzebny.

Wam, zbawco mój, dopókim żyw a tchu we mnie stanie, nie zapomnę żeście mi życie wrócili.

Dopiero polewki się napiwszy ciepłej, którą mu Kaśka przyniosłszy stanęła z nimi bajdurzyć i zęby do Zbrożka wyszczerzać, gdy śmiech niewieści postyszał, i wesoło się zrobiło w komorze — Marcik począł do siebie przychodzić.

— Wiecie co — odezwał się na łokciu opierając, na wpół do Zbrożka, na pół do dziewczyny — takim się czuję słabym, że chyba bym starego miodu się napił!

— A ja, choć nie słaby, do miodu też stanę, — rozśmiał się Zbrożek.

— Jak mnie mecha we środku lepiej zagrzeje, a po kościach pójdzie — może wstać będę mógł, — dodał Suła.

Spojrzeni oba na Kaśkę, która śmiejąc się paciorki sobie poprawiała — skłoniła główką na znak zgody i pobiegła po miód. A na progu stanawszy, odwróciła się do nich wołając.

— Dam takiego że trupa by wskrzesił! Po nim Gołasz, co ma lat więcej siedmdziesięciu, śpiewa i gotów w umizgi iść!

— Takiego dawaj! — krzyknął Marcik.

Dobra myśl wracała. Tuż ze Zbrożkiem po bratymstwo sobie przysięgli na wiek wieków; a Suła dodał:

— Zemrę-li bez potomstwa — Wieruszyce ci moje oddam!

Śmieli się i ściskali a całowali.

Na znak druzby zaraz helmy z sobą pomieniali; Suła byle na zamek chciał zaraz przyjacielowi jedyny łańcuch, jaki miał na niezabudź darować.

Przyniosła Kaśka mechę, która w istocie do-

bra była i tego tak, że zaraz we łbach zaszmiało.

Mareik poczuł łamanie w kościach, co było podług niego dobrym znakiem, iż mu czucie powracało bo wprzód jak drewno był.

Zbrożek mniej pił. bo jak powiadał, słabą miał głowę.

Krzepili się tak jeszcze, gdy już z zamku towarzysze Sulę nadbiegać zaczęli z radością wielką, bo go kochali wszyscy, przynosząc mu tę wieść, że księżna z ocalenia jego bardzo rada była i przykazała na zamek przenieść, aby w mieście złym ludziom znowu nie popadł w ręce.

Wszyscy w zamku mówili o tem głośno, że nie kto inny, tylko wójtowi słudzy sprawcami być musieli. Szeptano o tem u Szeluty, dodając, że książę pewnie na mieszczanach mścić się będzie.

Rajcy miejscy i starszyczna klęła się, że o nim nie wiedziała.

Wysłani z zamku, prawie gwałtem wzięli od Kanczorki Sulę, a że, mimo miodu o swej sile iść nie mógł jeszcze, bo nogi odrętwiały włókł za sobą, wynieśli go na rękach, a potem po wojskowemu płaszcz między dwoma końmi rozwiesiwszy, na nim go złożyli i podtrzymując na Wawel prowadzili.

Zbrożek też dał się namówić i szedł za nim.

Na Wawelu dopiero dowiedział się Marcik, że wczorajszego wieczora Kursor przybiegł od gra-

nie, a książę wiadomość jakąś odebrawszy, rano musiał z ludźmi wyciągnąć, nie wiadomo dokąd. O Marciku się dowiadywał, chcąc go może zabrać z sobą.

Jego też żal brał, że znowu na zamku zostać musi tak jak bezczynnym — ale obiecywał sobie, byle siły wróciły, za księciem pospieszyć.

Na zamku jakby z drugiego świata powracającego witano Sulę, ciesząc się, że żyw był, a dopytując o dziwną przygodę. Nie wszyscy wierzyć chcieli, aby mieszczanie się ważyli porwać na zamkowego sługę, a wielu szeptało, że zazdrośny jakiś Greta miłośnik, chciał współzawodnika uprzatnąć.

Przyjmował Marcik przyjaciela, z którym zaszedzieli się aż do przybycia kanonika Raclawa, na wezwanie księżnej przybyłego. Ten opatrzywszy Sulę, obmacawszy go, smarowanie dał jakieś i rzekł śmiejąc się, że tacy jak Marcik od tak małej rzeczy nie giną.

Miał stary lekarz to przekonanie, jak powiadał, iż im kto więcej w życiu cierpiał, tem więcej przecierpieć może.

Wieczorem już Marcik jeść zażądał, a naza jutrz do łaźni się gotował — która na wszystkie choroby u niego najskuteczniejszą była.

Greta nie rychło dowiedziała się o ocaleniu Marcika, dopiero, gdy do niej Jurgę posłał z po-

zdrowieniem i obietnicą, iż rychło przyjdzie sam opowiedzieć, co się z nim działo owej nocy.

Do niewiast bardzo skory ofiarował się w poselstwie za przyjaciela do wdowy iść Zbrożek, ale Sula sobie tego nie życzył.

— Dalibyście babie tej pokój, i nie zaczepiali licha — rzekl. — Urokliwa jest a Nielitościwa. Ja jej służę już lat wiele, a tylkom się drwin i szyderstwa dosłużył.

Zbrożka to nietylko nie odstręczyło, ale ciekawość obudzić musiało, bo się uparł w poselstwie iść i poszedł.

Gdy się Zbrożek stawiał u Greta, zastał u niej stryja Pawła i kilku zwykłych gości. Wiedziano o nim tu, iż mu Sula życie był winien, bo gdyby go wezas nie rozwiązano, albo by się udusił, lub nocą zbóje by go dobili.

A że różne plotki o całej przygodzie chodziły, obsiedli wszyscy kołem gościa, aby im powiadał, na co patrzył. Prostemi słowy począł im opisywać, jako w ulicy stał i jak ludzie wyglądali, którzy porwali tak zręcznie Marcika. Z powieści jego wiertelników łatwo się było domyslać.

Ci bez rozkazu gwałtu takiego popełnić nie mogli, bo choć się trafiało, że czasem na bezbronnych i samotnych napadali, czynili to dla łupu, a na Marciku wielkiego się spodziewać nie mogli. Wiedzieli zaś na kogo się rzucili, bo nań u dworu Greta czatowali.

Szopa, w której Sulę znaleziono, także przeciw nim świadczyła, bo do niej prócz nich, nikt przystępu nie miał.

Sukno zaś, w które obmotany był Marcik, zabrane jako lice, tego samego było gatunku i barwy, jakie circulatorom dawano.

Słuchający głowami potrzęsali nieśmiejąc rzecz słowa — bo Wójta wszystko obwiniąło, a nikt nie chciał się z nim zadzierać. Strwożeni byli. Greta nawet dobrze nie znając młodego chłopca, strzymała się z tem, co myślała.

Zabawiwszy trochę, Zbrożek do gospody swej w Grodzkiej ulicy pociągnął, nie czekając nocy.

Mieszczanie dopiero pozostawszy sami, otwarciej się mogli rozmówić. Wszyscy oni, Paweł, Niklasz i Keczer — zafrasowani byli. Zuchwałstwo Wójta dowodziło, że już pewnym siebie był.

— Książę z wojskiem wyciągnąć musiał — odezwał się Niklasz. — Na zamku małą pono załogę zostawił — nieobecność Łoktka może się przeciągnąć, bo z krzyżakami ma do czynienia wiele. Tym czasem Wójt pogotowiu. Ślężacy pewnie na czatach... i w mieście nowego pana mieć będziemy!!

Wzdychali frasobliwie. Greta ręce łamała gniewna. Wszyscy lękali się, aby miasto nie ucierpiało, a najwięcej ci, których Wójt nie lubił i znał za swych nieprzyjaciół.

Że się coś gotowało, wszyscy to czuli. Zau-

sznicy Alberta podszeptywali już, że się polskie panowanie rychło skończyć musi, — i lepszego księcia dostaną. O Opoleczyku rozpowiadali niektórzy, że był serca wielkiego, obyczajów niemieckich, pan rozumny i możny, a za sobą Brandebureczyków miał, króla czeskiego i cesarza.

Rozumiano co takie pogłoski znaczą i do czego przygotownią.

Inni prześmiewali małego księcia, jego wzrost, nbóstwo, osamotnienie, przepowiadając iż znów pójdzie na wygnanie, z którego już nie wróci.

Wszystko to smutną było przepowiednią dla Pawła i przyjaciół jego.

Otyły rzeźnik wzdychał pot ocierając z czola.

— Na to my poradzić nie potrafimy, ani temu zapobiedz. Musimy siedzieć cicho, słuchać i patrzeć. Czyja siła, tego wola. Stękali, iż się bez nowych ofiar panowanie nie obejdzie nowe. Rezygnacyi ich jedna Greta rozumieć nie chciała.

— A! wy! wy! — zawołała lamentu słuchając. — Wszyscyście, niewyjmując Pawła ciemiegi, do niczego! Wójtowi się za nos prowadzić dajecie, choć widzicie, że was na zgubę wiedzie. Co by ten Albert znaczył, gdybyście wy serce mieli?

— A co pomoże serce — odparł Keczer, — kiedy nas kupka, a z panem Wójtem gromada trzyma i z nim idzie?

— Z kupki by gromada urosła, gdybyście nie-dolegami nie byli! — odezwiała się Greta.

Paweł nakazał jej milczenie.

— Daj ty pokój z językiem swym,— rzekł.—
Ja już różne pamiętam czasy i wiem jedno —
nie wdawać się nam chudeuszom w nie swoje.
Kto mięso sprzedaje niech o wołach myśli, kto
sukno o postawie, — kto żelazo o kruszcu...
I koniec!

— Co Bóg da to da! — zamruczeli rozchodząc
się drudzy.

VII.

Upłynął miesiąc, miało się ku jesieni. W mieście mało się co zmieniło. Marcik wyzdrowiawszy rychło, pożegnawszy Zbrożka, który nad Pilicę powracać musiał, nie pojechał do Łoktka, choć go do obozu serce ciągnęło — musiał zostać, aby pilnować zamku, bo jawnie się zamach jakiś gotował. Musza, Lewek i inni zastraszające przynosili wieści.

Na Wawelu załoga była mała, a książę nie miał jej czem zasilić, bo sam ludzi potrzebował.

Wójt Albert, który z drugiej jakiejś podróży wrócił, nie chodził jak dawniej chmurny i nasepiony, ale z głową do góry, nieustannie się po mieście krzątając.

Veita zostawiono przy dowództwie straży, ale

ludzi mu zmieniono, dając różnych niemców niewiedzieć z kąd ściągających się i Ślązaków.

U wszystkich wrót, gdzie strażę dzień i noc czuwały, ludzi postawiono nowych, dawnych się pozbywając. Zaciężnych Ślązaków w służbie miejskiej było pełno. Cechom kazano opatrywać rynsztunek i gdzie który do jakiej bramy i połaci muru był przeznaczony ku obronie, aby zawsze w gotowości był dniem i nocą.

Zbroi co było miejskiej popsutej do płatnerzów dano, pośpiesznie ją przykazując naprawiać.

Z tem wszystkiem nie ukrywano się, działało się to jawnie. Kasztelan wiedząc o tem, pytał coby znaczyło, a Wójt odpowiadał śmiało, że miasto zawsze na wszelki wypadek do obrony od nieprzyjaciela musiało być pogotowiu.

Nie było to zresztą złem, bo na zamku szczupłą miał kasztelan załogę, a zdrady jawnej nie chciał dopuszczać, choć ją drudzy przepowiadali.

Marcik przestrzegał — mówiono mu:

— Śni ci się!

Wymógł tyle na kasztelanie, iż choć nic na pozór nie groziło, pozwolono mu na zamku straż trzymać pilną, wrota wcześniej zamykać, ludzi z miasta nie wpuszczać bez opowiedzenia; w nocy na wałach warty zaciągać.

Sam Suła, wzorem pana swojego, który gdzie-

kolwiek był, strażę osobiście opatrywał nocami — chodził po wałach, ludzi obwoływał i za najmniej-
sze niedbalstwo karał surowo.

Na miasto jeżeli szedł teraz, co mu się rzadziej trafiało, to tylko we dnie i wracając zawczasu; ludzi zaś z załogi nie puszczał prawie i przed wieczorem wszyscy na miejscach musieli być.

Na coś się w mieście zanosilo. Sula wiedział przez swoich. Przychodzili nieustannie za sprawami do sędziego na gród żydzi, a ci wszyscy niemal od Muszy i Lewka przynosili ostrzeżenia i pogłoski. Obawiali się oni o siebie, gdyby uchwaj Boże, w mieście się co zmienić miało.

Jesień już była dość późna, wieczór cichy, pogodny, piękny.. W mieście panował spokój i cisza dziwna, jakby wszystko wymarło. Marcik, który po wałach chodząc przysłuchiwał się i rozglądał — nie mógł zrozumieć dla czego tak zawczasu w mieście się na spoczynek gotowano. Ruchu w ulicach nie było żadnego.

W kościołach dzwony zaczęły się odzywać na modlitwę wieczorną, gdy Sule, który ucho miał bardzo czułe, zdało się, iż w dali tentent koni usłyszał gromadny.

Szło coś, — wojsko, czy stado, ale zwolna, mierzonym krokiem.. i zbliżało się.

A im bliżej było, tem Sula pewniejszym się czuł, iż albo książę z wojskiem powraca, lub inne

jakieś ciągną oddziały. Z różnych stron miasta od bram tentent przychodził.

Nie pewien, co to ma znaczyć, Suła zbiegł natychmiast do wrót zamkowych, które jeszcze otwarte stały i dał rozkaz, aby je natychmiast zamykano. Straż ruszyła się nastraszona tem, kazał na ludzi zatrzeć, aby się zbierali, a sam pobiegł do dworca.

W tem z miasta przed chwilą tak nspokojonego, dolatywać zaczął szmer głuchy i jakby stłumione okrzyki. Poruszało się coś tam.

Suła wdrapał się na dworzec, gdzie stały wyżki umyślnie zrobione, aby z nich dalej widzieć było można miasto i przedmieścia. Wszedłszy i spojrzawszy — struchlał.

Przez ulice snuły cicho oddziały jakieś zbrojne, zajmując miasto. Na chorągwiach mógł rozpoznać czarnego orła śląskiego.

Nie było już wątpliwości, zdrada uknuta została dokonana, miasto się poddało Ślązakom.

Jak okiem mógł zajrzeć Marcik, widział oddziały coraz nadciągające, które spokojnie bez walki i oporu zalewały Kraków. W rynku już głośno okrzykiwano...

Na zamku pozostali — widzieli już wszyscy, iż nieprzyjaciół jakiś miasto zajął, umyślnie mu otwarte.. Powstała trwoga.

Kasztelan Pakosław z Moskorzowa, niedawno naznaczony po śmierci Jana z Buska, wychodził

właśnie dowiedzieć się o wrzawie, którą posłyszał, gdy mu Ślęzaków zwiastowano.

Zbladł i przystanął chwilę nie pewien siebie, lecz człowiek był serca wielkiego i ducha nie stracił. Zaczął wydawać rozkazy i po zbroję posłał pacholę.

Wrota były już zaparte.

Od miasta coraz groźniej szumiało.

Kilku żołnierzy z załogi, których najazd zastał w mieście przybiegło do furty, prosząc się, aby ich wpuszczono, bo się niewoli obawiali. — Otwierać im było niebezpiecznie. Spuszczono linę z drążkiem i tak ich na górę wciągnięto. Ci już unieśli rozpoviedzieć o tem na co patrzali.

Gdy Ślęzacy się zbliżyli, wszystkie wrota zastali na oścież otwarte. Wójt naprzeciwko księcia Bolesława Opolskiego wyszedł ze swojemi mieszczanami, w orszaku wielkim, do nóg się księciu pokłonił, oddając Kraków jako panu i władcy. Niektórzy tylko z mieszczan poukrywali się i domy pozawierali — ale tych mało było. Znaczniejsza część po niemiecku wołała, ochotnie i radośnie przyjmując Ślęzaka.

Na ratuszu nawet zgotowane było przyjęcie i wino, gdzie wszystkich kto chciał ugaszczano.

Żołnierze niektórzy i Jurga na oczy swe to widzieli...

Miasto więc było stracone, bo z opowiadania wnosząc, siła księcia Bolesława była tak znaczna,

iż przeciw niej porywać się było szaleństwem..
Z zamkiem co począć mieli?

Kasztelan co najprędzej szedł z żałosną nowiną do księżnej.

Jadwiga w pożyciu z mężem przejęła była męztwo i wytrwałość jego. Przetrwawszy wiele umiała cierpieć. — Pakosław wiedział o tem, ale sam ojcem będąc, litował się niewieście, która o los dzieci zatrwożyć się musiała.

Szedł, lecz im bliżej był, tem zwłóczył więcej, rad by go kto uprzedził. I stało się jak żądał, bo sługi wpadły naprzód do księżnej z płaczem, oznajmując, że Słazacy Kraków zajęli.

Syna pochwyciwszy na ręce księżna, jak stała do przedsieni wybiegła. Tu spotkała kasztelana, który całe męztwo odzyskał.

— Brońcie zamku! ratujcie dziecię moje! — zawołała żywo. — Władysław nadciągnie niechybnie z odsieczą. Dopóki go się nie doczekamy, musimy się bronić!

— Miłościwa pani — odparł kasztelan. — Myśmy na to przygotowani i inaczej nie może być.

Księżna przyciskała do piersi dziecię strwożone, łzy płynęły jej z oczów, lecz spojrzawszy na Pakosława, którego mężka twarz cały swój pokój zachowała — odetchnęła lżej.

— Zamku nie poddamy! — powtórzyła.

— Nigdy! — odparł krótko kasztelan.

Pacholek niósł mu hełm i zbroję, w podwó-

rzu słyhać było wołania — księżna wróciła do kaplicy i klękała na modlitwę.

Ślężacy z Albertem obrachowali byli, iż z nie-nacka do zamku przypaść, nimby się tam opa-miętano i zebrano do odporu, było dla nich naj-korzystniej.. Główne oddziały mało co się za-trzymawszy w rynku, ciągnęły z Fuldem do-wódcą i Wójtem Albertem ku wrotom.

Wójt w szatach paradnych, po rycersku przy-strojony, z pychą wielką wiódł ślązkiego do-wódcę. Wybrali do swego orszaku ludzi naj-lepiej uzbrojonych, w błyszczących pancerzach, ku-szowuików niemieckich, i najzuchwalszą gawieź, która łatwem do miasta wkroczeniem uzuchwa-lona szła wykrzykując i odgrażając się napastli-wie i tłumnie.

Albert sam stanął naprzeciw wrót wołając, aby je otwierano.

Pakosław wystąpił przeciwko niemu na wyżki i pochylił się grubjańsko krzycząc na Wójta, który zaczerwieniony z gniewu podniósł głowę.

— Skończyło się panowanie wasze! skoń-czyło — krzyknął Albert. — Wrota otwierać! Pod-dawajcie się! Obrany jest pan nowy, książę Opol-ski, który miasto zajął.

Chcecie-li z życiem ująć, — nie zwłóczcie. — Wrota otwierać!!

Inni za nim po niemiecku zaczęli wrzeszczeć:— wrota otwierać!

Niektórzy grozili pożogą, rzezią i śmiercią.

Pakośław dał im krzyczeć nie odpowiadając, zwrócił się do Wójta z pięścią ściśniętą.

— Ty, zdrajco podły — zawołał — szubienica cię czeka!

Spojrzał z góry dumnie na Ślązaków i nie zważając na wrzawę zszedł z wyżek.

Ludzie na wrotach stojący poczęli kusze nawiwszy odgrażać się, że strzelać będą.

Nie przygotowani do boju Ślązacy, cofnęli się nieco. Albert błady niespokojny, w miejscu z koniem się poruszał, chcąc męstwo okazać. Herold trąbił znowu wyzywając na rozmowę, ale Pakośław nie wyszedł więcej, a Marcik wylazłszy na wyżki od ostatnich słów począł besztać Niemców, plunął na Wójta i — precz zszedł.

Ślązacy jeszcze się burzyli i namyślali, a tu wieczór nadchodził ciemny. Rzucili się do wrót, cisnęli na nich gradem przygotowanych kamieni i kilka bełtów puszczone. Musieli ustąpić.

Naradzano się w kupie z Wójtem, który wołał ze śmiechem udanym.

— Jutro oni będą pokorniejsi

Rozstawiono z dala strażę i Fuld z Wójtem zasępionym nazad pokłusował do miasta.

Zawiodła go nadzieja, był bowiem pewien, że zamek niespodzianie napadnięty się podda. Siłą go brać nie było łatwo.

Bolesław Opolski obrany pan nowy z dobrą

myślą siedział w ratuszu za stołem, otoczony niemieckimi mieszczany, zapewniony będąc przez Wójta Alberta wcześniej, iż korda nawet dobywać nie będzie potrzebował, dla opanowania Krakowa.

Lat już dojrzałych mężczyzna, jak wszyscy niemal ślączy piastowie otyły, wielki, piwem dobrze utuczony, twarzy szerokiej, rysów dosyć łagodnego wyrazu — choć miał wzrost i ramiona rycerskie, nie okazywał zbyt rycerskiego usposobienia.

Szedł do Krakowa przekonany, że na drodze nie znajdzie żadnej przeszkody, że weźmie miasto i państwo jak owoc dojrzały. Tak się też stało, i gdy mu wrota otwarto szeroko, a mieszczanie powitali okrzykami, gdy go z honorami zaprowadzono na ratusz, czekał już tylko by mu znać dano, że na Wawel jechać może. Był pewien, że na starym zamku zanocuje, oglądał się na Wójta, kiedy mu da znać by na koni siadał i ciągnął. W tem zamiast Alberta, który się zatrzymał nieco, wszedł dowódzca jego Fnld.

Książę spojrzawszy nań, poruszył się po helmu leżący na stole sięgając.

— Na zamek? — zapytał.

— Na zamku, — odparł Niemiec równie zawodem oburzony, — ani słuchać nie chcą. żeby go oddać! Z niemi będziemy się musieli rozprawiać. Wały duże i mocne, góra dosyć wysoka i stroma.

Bolesławowi chmura przeszła po twarzy. Oczy ma szukał Wójta, który ułożywszy spokojne oblicze, wchodził właśnie. Spojrzał nań z wyrzutem.

— Cóż to? Zamek się opiera? bronić się myślą?

Albert wzgardliwie ramionami dźwignął.

— Nie ma o czym mówić — odparł, — jutro się wszystko wyjaśni. Bronić się nie mogą, ludzi nie mają. Trudno, aby się od razu poddali — ale popłoch tam wielki.

W. Miłość zajmijcie dom mój, a jutro...

Książę patrzył już na Fulda, jakby Wójtowi nie dowierzał, dowódzca zdawał się wątpić.

Albert przysunął się do księcia.

— Księżna z dziećmi znajduje się na zamku, należałoby jej dać wolne wyjście ze dworem. Zechce pewnie swoje mienie zabrać.

Bolesławowi te targi były nie do smaku.

— Inaczej mówiliście i obiecywali mi w Opolu — odezwał się do Wójta z wymówką. — Zaklinaliście się, że wszyscy mieszczanie, duchowni, rycerstwo na mnie czeka, i nikt się nie sprzeciwi.

— I dziś to powtarzam, — rzekł Albert, ale księżna musi się o swobodę i mienie targować.

Rozmowę poczetą przerwało wołanie oznajmujące, że Biskup przybywał. Mnskata, który Łoktka i Krakowa unikał od dawna obiecywał był swe przybycie na dzień zajęcia miasta przez Ślązaka.

Śpóźniwszy się nieco z przyjazdem, wprost

z wozem pod ratusz zajechał i jak stał w płaszczu, pod którym miał urzędowe szaty, wszedł witać pana, którego pragnął.

Książę powstał, rozstępowali się wszyscy, mały, niepoczesny, przykurezony Biskup z wielką gorącością i poszanowaniem się przybliżył. Śmiał się i płakał, drżał i mruczał coś niewyraźnie, wielką radość widać w nim było.

— Skończyło się panowanie Antychrysta' — zawołał gło em, który kaszel przerywał. — Niech Bóg synowi swemu na tej stolicy błogosławi.

I przeżegnał schylonego.

Książę jedno teraz miał na myśli, i zamiast podziękować Biskupowi — odezwał się niespokojnie.

— Zamek się nie poddaje!!

Biskup uśmiechnął się z jakimś politowaniem.

— A! nie dziś, to jutro mieć go będziecie! — rzekł wesoło. — Ja tam wejść dla kościoła, a gdy raz się dostanę, postaram się, aby bramy otwarto.

Noc nadeszła i wszystko musiano odłożyć do jutra. Bolesław po cichu rozmówiwszy się z Biskupem, kazał się prowadzić do dworu Alberta, przygotowanego na jego przyjęcie.

Wojsko zajmwszy miasto, choć ono mu się dobrowolnie poddało, poczynало gospodarować jak w zdobycem. Mieszczanie dopiero teraz postrzeegli, na co byli wystawieni. Ślężacy gwałtem domy opanowywali, odbijali kramy, chwyтали co kto na-

padł z żywności, a pachółkom miejskim kilku, po łbie się dostało.

Rozsypali się po ulicach z szalem i zuchwałstwem żołdactwa rozpuszczonego. Gościnne przyjęcie w rynku, beczki piwa i starszysznie rozdawane wino, głowy strudzonych pozawracało. Do domu Wójta bieżono ze skargami, z narzekaniem, ale służba precz żałących się odpędzała. Rajcy, którzy biegli na ratunek swych sklepów, zostali pochwytni przez żołnierzy i powiązani.

Albert tymczasem o niczem wiedzieć nie chcąc, przyjmował księcia, zapewniając go, iż nietylko zamek podda się jutro, ale ziemianie przybędą okrzyknąć go panem, bo Łoktek naprzykrzył się im swojemi wydzierstwami i samowolą.

Książę słuchał, uśmiechał się, rad był i w końcu zapewnieniom uwierzył, domagając się przedewszystkiem, aby mu zamek oddano. Albert zaręczał, iż jutro wszystko się skończy, byle Herolda do księżnej posłano, zapewniając jej wyjazd wolny.

Noc w mieście była bardzo niespokojna. Wierelnicy nie śmieli obchodzić swych kwartałów, bo Ślázacy ich groźbami precz rozpędzali. Gdy rozedniało, w ulicach naliczono trupów kilkunastu odartych, kilka domów się paliło, tak że je ledwie hakami rozerwano, aby się pożar nie rozszerzył.

Jak dzień Hińcza Keczer poszedł do Wójta,

który tej nocy oka nie zmrużył. I on też spokoju nie miał i snu nie próhował nawet.

Chociaż trzymali z sobą i Hincza się liczył do przyjaciół Alberta, nie ufali sobie wzajem, i nie bardzo się lubili.

— Wiecie co się na mieście dzieje? — zapytał wchodząc Keczer.

— Żołnierze w nocy pili i dokazywali — nie mogło być inaczej — odparł Wójt. — Cóż dziwnego?

— Słyszeliście ile kramów odbito i złupiono? Ilu trupów na ratusz zaniesiono? U Zebiusa na tysiąc grzywien szkody... Panko Wanczos zabity.

— Chcieliście, — zawołał unosząc się Wójt — aby was uwolnienie z pod katowni Łoktka nie kosztowało? Darmo nie nie przychodzi!!

— Ale nam może przyjść bardzo drogo, — odpowiedział Keczer.

Albert oburzony tą wymówką rzucił się. W tem do drzwi inni ze skargami i płaczem zaczęli szturmować. Veit dowódzca Viertelników stawiał się z głową rozplataną, krwawą chustą okrytą. Zniecierpliwiony Wójt unosił się, łajał, groził, nie chciał słuchać nic i pędził przychodzących bez litości.

Tym czasem Biskup, jak wczoraj przyrzekł, wybrał się na zamek do kościoła, w istocie do księżnej. Krucyfer jego szedł przodem, kapituły

część mu towarzyszyła. Na szkarłatami wysłanym wozie podjechał pod wrota wielkie.

Krucyfer wołał, aby je otwierano. Tuż za wozem szedł oddział słazaków. Wszczęło się pokrzykiwanie: — Otwierać biskupowi.

Kasztelan się pokazał na wyżkach.

— Ani księdzu Biskupowi, ani nikomu wrota się nie otworzą, — odezwał się spokojnie. Wiemy z kim Biskup trzyma i co myśli. Jedźcie z Bogiem.

Kanonik Frejer kapelan biskupi podpadł na koniu bardzo gwałtownie, grożąc amathemą, bo nikt nie miał prawa Biskupowi do kościoła jego drogi tamować.

Wołanie to nie nie sprawiło. Kasztelan odrzekł krótko i sucho.

— Jedźcie z Bogiem. . rozprawieniy się gdzieindziej.

Stali tak z wozem, z krzyżem dobrą chwilę, napróżno się zmagając na groźby, aż od Wójta nadjechał Herold z chorągwią i orłem słazkim na piersiach, w kapie, z trąbą, domagając się, aby go jako posła puszczono do księżnej Jadwigi.

Odparto go tem, że w żadne rozmowy księżna wdawać się nie chce z najeźdźcami.

Łajano się jak zwykle po niemiecku i po polsku; godzina upłynęła próżno i Biskup z krucyfiksem musiał na swój dwór z niczem powracać. Na Herolda, gdy odjeżdżał, kamieniami sypnięto.

Nadbiegł Wójt sam, ale po czasie, gdy ni-

kogo nie było na wrotach, a do niego nikt wychodzić nie chciał.

Książę Bolesław na dworze Alberta siedział wygodnie u dobrze zastawionego stołu, śmiejąc się, żartując, pewien, że mu lada chwila znać dadzą, aby jechał na zamek.

Niespodziany wypadek zatruł mu to uczto-
wanie.

Nie wiedzący o niczem, co się działo w Krakowie, przybył do Łoktka Wincenty z Szamotuł rano po zajęciu miasta. Tu dopiero u wrót się dowiedział, że Bolesław Ślązki w niem się znajdował. Przybywał ze znacznym oddziałem, po pańsku — i Ślązacy zobaczywszy go, a domyślając się z kim trzymał i do kogo jechał, otoczyli i uwięzić chcieli.

Z Szamotulskim sprawa była nie łatwa, oni i ludzie jego wzięli się do mieczów i do obuchów. Tumult się stał u wrót, sam Wójt nadbiegł nie-
spokojny zobaczyć, co się tam działo.

Wielkopolanin szalał, lajał i gawiedź krwawił, rozpędzał. Wójt znając go i wiedząc, jaki wpływ miał, krzyknął na Ślązaków, aby odstąpili, a sam zabrawszy Wincentego powiódł go na rozmowę do księcia.

Bynajmniej nie złękniomy Szamotulskisamotrzeci ruszył z Albertem do jego domu.

Książę Bolesław jeszcze za stołem siedział,

gdy Wójt mu przyszedł o nim oznajmić, radząc, aby książę starał się go sobie pozyskać.

Za nim zaraz wkroczył Wincenty z taką dumną miną i butą, jakby sobie nowego pana nie wiele ważył.

Śluzak twarz mu okazał wielce łaskawą.

— Nie wiecie, widzę, — rzekł, — iż ja tu za wolą powszechną i wyborem wszystkich przybyłem? Kraków i Sandomierz sam mi się oddał. Nie prosiłem o to, nie narzucałem się, przyszli mnie prosić, aby się z twardej niewoli Władysława wyswobodzili.

— Zaprawdę nie wiem o tem — odpowiedział Szamotulski. Lękam się tylko, aby W. Miłość w błąd nie wprowadzono. Mieszczanie niemieccy, którzy tu na cudzej ziemi siedzą — może księcia wzywali, ale o ziemianach i rycerstwie, które stoi przy swym panu — nie wiem!

— Zaręczano mi za ziemian!

— A no oni samicale o niczem nie wiedzą — rzekł Szamotulski. — Miasto wziąć, gdy zdrajcy wrota otwierają mała to rzecz, ale co miasto, to nie ziemia.

Wójt stał za nim blady, książę zwrócił się ku niemu.

— Mówcież wy! — zawołał.

Albert się nieco zająknął.

— Krakowscy i Sandomierscy ziemianie tak myślą jak i my! — rzekł krótko.

— Którzyż i jacy? — pytał Szamotulski.

Zmięszany Wójt zamiast odpowiedzieć wprost, począł się jakać.

— To się okaże! — My księcia Władysława wszyscy mamy już dosyć! i wojny i ciężarów i rozbojów wojskowych po gościńcach!

Z pod oka spojrzał nań Szamotulski.

Zwrócił się do księcia.

— Wasza miłość, — rzekł — daliście się uwieść lada jakim zapewnieniom, ale łatwiej było wnijść tu niż będzie się utrzymać. Książę Władysław nadciągnie z siłą znaczną, a ziemianie za nim pójdą.

— Nie pójdą! — gniewnie zaprzeczył Wójt.

— Nie możecie wy ręczyć za ziemian, — odparł Wincenty — sprawa miasta, a nasze, nie jedne są. Wyście Niemcy przybysze, a my tu ojczyce...

Zachmurzył się książę słuchając.

Wincenty z Szamotul tak się stawiał śmiało i pańsko, iż Ślązak ani myślał go zatrzymać. Albert podszeptował, aby go nie puszczano, bo wracając do Poznania popłoch rozniesie, lecz Ślązak nie chciał sobie ziemian narażać i puścił go wolno.

Po krótkiej rozmowie tej wielkopolanin na koni siadłszy do swojego orszaku wprost, niezatrzymując się w mieście, podążył i natychmiast za wrota wyruszył.

Wszystko co mówił głęboko utkwilo w umyśle księcia Bolesława, teraz dopiero widział jasno, że się dał uwieść pięknemi słowy.

Bardziej jeszcze niż on rozjątrzeni byli dowódcy wojskowi, którzy szli na tę wyprawę, jak na wesolą wycieczkę; wojny się wcale nie spodziewali, a znaleźli na miejscu opór, który ją zapowiadał. Wszyscy narzekali na Alberta, a gniew wywierali na miasto, na mieszczanach za zawód pomsty szukając.

W zamku sposobiono się do upartej obrony; Słazacy obchodzący wały widzieli to i książę Bolesław, choć mu szturm radzono, wahał się go przypuścić.

VIII

Upłynęło parę miesięcy, — a ci co Kraków zdradą opanowali, jednego naprzód nie zrobili kroku. Żywilo ich miasto, zamek się opierał, ziemian nie było widać wcale, kraj poddawać się nie myślał.

Książę Bolesław siedział w domu Wójta ze dworem swoim, pil i jadł, dobrze mu się działo — lecz po troszę się już niepokoił. Wojsko jego miasto opłacać musiało, ściągano grosz — końca temu widać nie było.

Wielka z początku radość Niemców zmieniała się powoli w niemniejszy frasunek, oprócz niewielkiej garstki tych, co z nim trzymała i pochlebiała mu. Albert widział wkoło siebie twarze pochmurne, ludzi milczących i skłopotanych. Księ-

ciu Opolskiemu nndziło się czekać, nie nie widząc przed sobą.

Rycerstwo obiecywane nie przybywało. Wójt, gdy naciskano, z dnia na dzień je obiecywał, a gdy przyszło je stawić, przyprowadzał kilku strwożonych biedaków z okolicy, ujętych przez się, którzy kłaniali się, belkotali i co najprędzej precz jechali.

Wszelkie usiłowania skierowane były ku temu aby zamek wziąć — ale siłą dotąd nie ważył się książę Bolesław kusić oń.

Powtarzał ciągle iż przybył wezwany dobrą wolą narodn, i dobijać się niczego niepotrzebuje.

Wójt się spodziewał, że Wawel podda się z głodu.

U Szeluty, gdzie się różni zbierali po cichu i ostrożnie szeptano, że z miasta wielu co Łoktkowi sprzyjali, widząc, że się Ślązak waha i słabnie, nocami żywności na zamek dostarczali.

Żydzi też pomagali obleżonym. Po pierwszej trwodze na Wawelu, po kilku dniach ucierania się u wrót na języki — gdy więcej nie poczynano, otucha wstąpiła w załogę.

Księżna pewna była, że mąż ją nie opuści, a stolicy swej Ślázakowi nie odda.

Wójt nawet w ostatnich czasach znacznie mniej zuchwałym się stawał i skarżył się tylko, że ziemianie go zdradzili. W istocie zaś nikt mu nie

nie przyrzekał, a on ufał, że gdy Kraków w ręku Ślązaków zobaczą, przyjdą mu się pokłonić.

Posyłano swoich po dworach, do brata, do powinowatych, do Sandomierza, aby jednać ziemian, — wszyscy odmawiali pomocy.

Zaczynano się obawiać zemsty Łoktka. W Sandomierzu namówieni przez Alberta mieszczanie poddali się Ślązakom — i tak samo gród się trzymał jak w Krakowie. W Sądczu na przekór Krakowowi, uzbroili się wszyscy, miasto stało przy swym państwie, — gotując broń przeciw Niemcom.

Książę Bolesław tęsknił już za Opolem, chciał wyjeżdżać z Krakowa zostawując tylko załogę, tak że Albert, przestraszony na kolanach go ledwie uprosił, aby pozostał.

Wawel opasany był do koła, strzeżono, aby nikt z niego ani doń wniknąć nie mógł — a jednak donoszono Wójtowi, że mimo największej pilności, ludzie się przekradali i żywność wciągano.. Ślązacy popojeni, tam gdzie trzeba było, nie słyszeli nic.

W miarę, jak oblężenie się przeciągało, stawało się coraz wolniejszym, ludzie zmęczeni zaniedbywali się.

Śmiały Marcik przekradał się niewiedzieć jakim sposobem do Muszy, na Okole, zachodził do znajomych, Ślązakom figle płatał, a uleczony Gamrot dzielnie mu pomagał.

Ważył się nawet jednej nocy aż na ulicę

Rzeźniczą do Pawła, i od niego się z bólem serca dowiedział, że Greta niemogąc znieść pobytu w mieście, znowu do Wrocławia do powinowatych zjechała.

Rad by ją był widział i dlatego się ważył podkraść do dworu mimo niebezpieczeństwa — ale i za ucieczkę tę ganić jej nie mógł.

— Byłe jej tam jaki Ślązak nie zaswatał — wzdychał.

— O to strachu nie ma, bo ona ich nie lubi — mówił Paweł, — zresztą choćby zaswatana, albo i zameżna byłe wróciła! — bo za nią strasznie tęskno, a człowiek do niej nawykł jak do powietrza.

Zgadało się potem o mieście i o zamku, a Suła tak był pewien odsiecz i przykładowego winnych ukarania, że Pawła tem nastraszył.

— Z Albertem i winnymi niech czynią co chcą, na co zasłużyli — westchnął — lecz nas niech oszczędzą. Gdy na miasto padnie straszny gniew pański, zginiemy wszyscy.

Marcik uderzył go po ramieniu.

— Nie bójcie się — będziemy umieli owce zakazane od czystych rozróżnić — ale, że zdrajcom przebaczenia nie da!! nadto go znam bym wątpił.

Z każdym dniem poploch rósł w mieście; woźnice ciągnący z kupią od Ślązka, od Sandomierza, od Torunia, przynosili wieści coraz pewniej-

sze, iż książę Władysław przeważne siły zbiera dla odebrania Krakowa.

Księżciu Bolesławowi gościna ta przymusowa ciążyła, codzień się stawał opryskliwszy, Wójta witał i żegnał wymówkami.

— Coście to mi obiecywali? Pókiż tego czekania będzie? Zwiedliście mnie...

Biskup choć pracował nad duchowieństwem aby je pozyskać sobie, znaczna część trzymała się na uboczu. On, Wójt i książęcy dwór narażali się po dniach całych, i niepokój rósł ciągle.

Muskacie donoszono, iż dobra biskupie Łoktek wojskiem ciągle zajmował.

Ktoby był następnej wiosny do Krakowa tejechał za tych śląskich rządów — ledwieby go zaraz poznał. Miasto, gdyby nie załoga, wyludniało się. Z ziemian i rycerstwa nikt tu prawie nie zajmował. Woźnice i kupcy nie bardzo się na gościńce wazyli, bo już Łoktkowi chwyтали ich, a dużo ziemian na swą rękę, korzystając z czasu niespokojnego zasiadało po gościńcach.

Obyczaj ten napastowania podróźnych, za czeskich rządów trochę się był powściągnął, bo surowo się wzięto do łapczywych rycerzy — teraz znów bezkarnie z gródków się dobywali.

W gospodzie kupieckiej, w rynku, wozu nowo przybywającego trudno teraz zobaczyć było, półowa kramów stała zamknięta, kupujących brakło, kupcy skarżyli się i sarkali.

Za to około Dyngusza, przy Pilacie, na ratuszu ciągle było tłumnie i gorąco. Albert grozą starał się mieszczan utrzymać przy sobie. Nie było dnia, żeby Viertelnicy kogo do więzienia nie wlekli, bez chłosty i stawienia u pręgierza jeden nie minął.

Niektórzy śmielsi wyrzucali Albertowi w oczy, iż miasto zgubił, ale kto się głośno odezwał, zamykano go. W radzie miejskiej połowa ludzi siedziała milcząca; niektórzy domagali się jakiegoś końca. Albert jak zwierz w kniei osaczony rzucał się, kąsał, ale kroku naprzód uczynić nie mógł.

Śląska też załoga, choć ją karmiono, przykrzyła sobie. Fułd, który od pierwszego dnia położenie zrozumiał i wyprawie był niechętny, potajemnie księciu coraz gorsze wieści przynosił.

Książę też codzień był niecierpliwszy — i chmuriał.

Włókło się to nieznośnie dla niego, ale dłuższym jeszcze czas ten mógł się księżnie wydawać.

Mimo tajemnie poddawanej żywności, nazamku dostatku nie było. Ludzie chorować zaczęli. Od księcia Władysława przez żydów tylko głuche dochodziły wieści.

Usłużny i bardzo zręczny Gamrot, który się na najniebezpieczniejsze wycieczki sam ofiarował, wyprawiony z poselstwem nie wracał. Nareście, w maju, jednej nocy, gdy Marcik wały obchodził, usłyszał znak, jaki zwykle dawano, gdy się

goniec zjawiał. Pobiegł ku miejscu z kął go sykanie doszło i zobaczył całego i zdrowego powracającego Gamrota.

Przynosił on pocieszające wieści od księcia, który obiecywał się wprędee i przyrzekał, że Ślązacy precz odejść będą musieli, byle zamek potrzymał się jeszcze.

Zbudzono księżnę, do której zaprowadził Mareik posła...

Zwiastował on, że pan niedaleko już był i rychło miał dać znać o sobie. Ziemianie wszyscy znacniejsi Sandomiersey, Krakowsey, Wielkopolski przy nim stali. Serdecznie też wiarę strzymali.

Na Ślązku Gamrot słyszał, że tam się księcia Bolesława, który zniechęcony był, z powrotem spodziewano.

Jeszcze się ta rozmowa toczyła w izbie księżnej, która ludźmi ciekawemi się napelniała, gdy na zamku od wałów, wśród ciszy nocej wrzask się dał słyszeć straszny.

Mareik i co żyło wybiegli chwytając za oręż.

Noe nie zbyt była ciemna, w podwórzni się rozglądając, Sula njrzał po nad tynami od strony Wisły coś poruszającego się, jakby ludzi gromadę. W jednej chwili już stanął u tynów, kędy zamkowego żołnierza dość już było.

Załoga czujna, szczególnie po nocach — cała była pogotowiu.

Potoczyli się wszyscy ku tynom...

Cicho i zdradnie garść Ślązaków, którą Niemcy, znający słabsze i trudniejsze do obronienia miejsca na zamku nasłali — próbowała wdrzeć się wewnątrz...

Pogotowiu stały większe siły, które gdyby się napaść udało, ze wszystkich stron uderzyć miały.

Napaść się nie powiodła, bo natychmiast u tyków zjawili się obrońcy.

Marek tłukł tych, których wdrapujących się u tyków znalazł, innych żołnierze chwytali, ciągnęli, siekli i brali w niewolę. Pod ręką były kamienie i belki, które na drapiących się po wzgórzu ciskać zaczęto.

Zacięta walka wśród nocnego mroku trwała nie długo, bo ci, co dalej byli, widząc pierwszych odpartych i pobitych, natychmiast uciekać i rozpraszać się zaczęli.

Rachowano na to, że na zamku długie bezpieczeństwo ludzi musiało uśpić, i że nikt pewnie napaści się nie spodziewał. Niemcy mogli mieć przekupionych na zamku i przy trwodze z jednej strony na otwarcie wrót liczyli.

Wszystko to jednak zawiodło.

Gdy potem ognia przyniesiono, aby więźniów i trupy rozpoznać, okazało się, że najwięcej ludzi było z miasta, których jako sługi wójtowe znano. Marek zjadł w pierwszej chwili wszystkich zdrajców nie żywiąc, dobijać kazał. Na walach naprzeciw miasta powznoszono szubienice,

w najwyższem miejscu i gdy rozedniało, mogli już ci co posłali, widzieć jaki los ich spotkał.

Tak ta noc trwogi i nadziei przeszła na zamku, a gdy książę Bolesław o niczem nie wiedzący wstał rano, Fuld mu przyszedł opowiedzieć, jak nieszczęśliwie probowano dostać Wawelu i sromotnie uchodzić musiano.

Przywołany Wójt Albert, składał winę całą na innych, sam się nie przyznając ani do tego napadu, ani do świadomości jego.

Następnego dnia posłaniec od brata Henryka przybył z ostrzeżeniem do niego, iż wszyscy ziemianie, nie wyjmując krakowskich w obozie ks. Władysława gromadnie się stawili.

Z tą wiadomością Albert do Ślązaka nie spieszył. Natychmiast radnych kazał na ratusz wołać, których Viertelnicy niemal gwałtem z domów porwanych pędzili.

W ostatnich tygodniach trwogi i niepewności Wójt posiwiiał był nagle, zestarzał, żółć mu zalała twarz, oczy patrzyły dziko. Przybywający z kolei zastali go spartego na stole, pogrążonego w myślach i słowa z niego dobyć nie mogli.

Stali już przed nim obaj Wójtowie wybrani przez mieszczan, Ortlieb i Petzold, radni Jaśko, Tylman, Brant, Winbold i Paweł z Brzega.

Z postawy i wejrzeń ich widać było, że wszyscy przybyli z troską nie małą — a nie bardzo byli z sobą zgodni. Paweł z Brzega, Hincza Keczer

opodał nieco się trzymając, poglądali na siebie porozumiewając się, a oczyma wskazując Wójta, jakby mówili.

— Oto winowajca!

Ci na uboczu miejsca sobie obrali.

Wójtowie, jak przystało, wysunięci naprzód, ręce trzymali w kieszeniach, oba jak noc posępni. Herman tuż przy Wójcie stał, jakby mu p silkować zamierzał i chciał dodać odwagi. Reszta spozierając po izbie słuchała wrzawy dochodzącej z rynku.

Wójt Albert długo się wahał nim rozpoczął.

— Trzeba radzić — rzekł w końcu głosem stłumionym — książę Bolesław domaga się sam nie wie czego. Ziemian mieć chce.

Ramionami poruszył.

Nikt się nie spieszył z odpowiedzią, czekano co więcej powie. Albert oczyma potoczył do koła, ciężko mu było przyznać, do czego miasto doprowadził, wołał odpowiadać na wymówki, niż sam się tłumaczyć.

Spoglądał i wyzywał napróżno. Wójtowie podnieśli głowy, Herman z Raciborza człek gwałtowny, widząc, że Albert się ociaga, począł za niego:

— Musiemy radzić o sobie, abyśmy nie mieli biedy. Zdradzili nas wszyscy. Wołali przeciw Łoktkowi, że go zasię nie chcą — że musi iść precz; powiadali, że byle się Kraków zdał, oni

wszyscy Ślązakowi moc oddadzą i panowanie. Teraz śpiewają inaczej, a nas zostawili w matni.

Ręką zawinał i rzucił się, Albert milczący rozłożył obie ręce szeroko i zalał je.

— Żle jest! — zamruczał.

Wtem Hincza Keczer podsuniąwszy się nieco, zawołał:

— Temu złemu my nie winni. Kto go sprawił niech naprawia! Myśmy nie chcieli żadnej odmiany. Nie mieszczan to sprawa książąt powoływać i osadzać. Jakieście piwo nawarzyli, takie pijcie.

Nieszczęście w tem, że choć nie wszyscy biedę robili, niewinni muszą pokutować z niemi.

Wójt gniewnie się poruszył.

— Wszyscyście tego chcieli, — zawołał. — Ja bym nie począł sam, gdybym ludzi nie badał. Nie winienem nic.

— A któż? może ja? — wyrwał się Paweł z Brzega. — Czyśmy was nie upominali!

Namarszczony groźnie spojrzał nań Wójt.

— Jeśliśmy zawinili to równo wszyscy.. Nikt z nas miastu źle nie życzył.

— Wyście to nie dla miasta zrobili — począł Keczer ośmielony — ale dla siebie. Chciało się wam większej godności i znaczenia. Łoktek wam był za mocny... roilo się panowanie. Wyście nas w te błoto, a bodaj nie w krew wpędzili, myślę jak wyrwać.

Wójt zgrzytnął zębami.

— Jeszcze się nie wszystko skończyło, — rzekł groźno. — Ks. Opolski siedzi u mnie i ja władzę mam. Nie rozpuszczajcie gęby, aby wam jej zamknąć nie kazal.

Keczer splunął i tylem się do niego obrócił.

— Zapomnieliście, — dodał Paweł z Brzega, — że my tu nie w domu u siebie, w Niemczech, ani na Śląsku, ale między polakami, wśród których nas garść tylko. Mieli nas dawniej za nieprzyjaciół, cóż teraz?

— Ziemianie polscy sami skomleli przeciw Łoktka — rzekł Albert.

— Gdzie? kto? jaki — podchwycił Keczer. — Postawcie jednego! mianujcie go? Przybyłże który poddać się Ślązakowi, pokazał się na dworze? Wszyscy są z ks. Władysławem. Wam się zdalo, że gdy Opolskiemu Kraków dacie, złęką się i poddadzą — ale z małym księciem nie łatwa sprawa... żelazny człek... nie zastraszyć go i nie zgryźć!

Albert nie odpowiadając mu, obrócił się do innych.

— Możemy się jeszcze ratować — rzekł. — Jeżeli zamek dostanie się Opolskiemu, wszystko się zmieni. Otuchy nabierze. Ślązacy leniwi szturmować nie chcą, nam trzeba się uzbroić i siłą, czy zdradą dobyć zamku... Gdy mu gród zabierzemy, żonę i syna, będzie musiał się ukladać i pójdzie

na dział swój, na Kujawy. Na zamek i ziemianie przyjdą — jutro.

— Tak samo jak dziś! — rozśmiał się szydersko Keczer. — Dobra rada! Poproście! poproście!

Wziąć zamku nie weźmiemy, bo u nas czeladzi mało i ta do obuchów i do kusz nie nawykła.

Mały książę jak się dowie, żeśmy mu jeszcze i zamek chcieli odbierać, w pień nas wyciąć każe. Teraz, choćby opanował miasto, może się kto ocali — potem nikt. Dobra rada!!

— Rada nie jest moja — krzyknął Wójt obracając się do niego — nie moja. Ks. Biskup Muskata mi ją dał.. Ten wiernie z nami trzyma.

— Tak rozumny jak i my! — szepnął Paweł z Brzega, i taki go jak nas los spotka.

Hieronym z Raciborza wystąpił naprzód.

— Wodę warzymy darmo — zawołał głośno i nakazująco. Ratować się trzeba i głowy słuchać, robić co Wójt każe. Rozdzielmy się, to przypadniemy!

— Tak, czy owak przepadliśmy! — przerwał Paweł z Brzega. — Niech lepiej każdy siebie ratuje jako umie — miasta nie uratujemy!

Wójt szydersko usta skrzywił.

— Was piękna synowica, która z polakami zaloty stroi, uratuje!

Paweł zaczerwienił się cały.

— Choćby i ta! która więcej miała rozumu niż wy i my wszyscy!

Stali wszyscy pomieszani, w tem dotąd milczący Ortlieb Wójt wybrany, grobowym głosem poczał.

— Sprowadziliście do nas Opolczyka — zwrócił się do Wójta — nie dajcież mu uchodzić, nie dozwólcie nas opuścić. Dopóki on tu, myśmy bezpieczni, uchowaj Boże, wyjdzie ztąd — nie ma innej rady, zabierajmy co kto ma na wozy i ciągnijmy z nim do Opola, czy Świdnicy, tu nam nie ma co robić.

— Pewnie najlepsza rada, — potwierdził Tylman — nie ma innej. Pójdziemy z nim ale z torbami żebrac, — nie zabierzemy domów i dworzyszcz z sobą.

— Jeśli wy co stracie — ofuknął go Wójt — ja pono więcej niż wszyscy!

— Miasto więcej znaczy niż Wójt i jego mienie — krzyknął Keczer. — Wójtowie się znajdują zawsze, byle miasto było.

Byłyby tu wnuki i prawnuki nasze żyły i żyły się — a teraz!! Przypomnijcie czem my te nasze prawa i przywileje zdobyli? Leszkowej Gryfny i zamku broniąc, — teraz stracimy je za zdradę!

— Nikogośmy nie zdradzili! — wybuchnął Albert. — Przyszedł Opolczyk, nie mogliśmy wojować z nim, musieliśmy wrota otwierać.

— A kto Opoleczyka sprowadził? Kto po niego jeździł? Kto mu pokazał drogę? — począł na boku stojący Keczer.

— Popytajcie co nas ten nowy pan kosztuje! jak nas ssie! — wołał Paweł.

Gwar rosła, bo za przykładem śmielszego Keczera i inni poczynali mówić odważniej.

Wójt naradzał się z Hermanem z Raciborza, który przytomniejszy i zuchwalszy był od niego.

Po cichej naradzie Albert się zwrócił ku radnym.

— Jestem tu jeszcze wójtem — zawołał. — Rady waszej pytałem, a wyście mi wyrzutami głupimi odpowiedzieli. Dość tego! Słuchajcie rozkazania mego i ks. Biskupa., który więcej rozumu od nas ma.

Czeladź uzbrajać! zbierać — zrobić zaraz popis zbroi i ludzi — Kuszniaków dadzą Ślązacy. — Na zamek całą siłą musimy iść!!

Spojrzał na słuchających, którzy się nie poruszali, i Herman z Raciborza dodał:

— Niech się starsi zbiorą i rozkaz dać na miasto. Wszystkę czeladź pozbierać, jest tej gawiedzi dosyć.

— I sklepy, ławki, kramy, warstaty pozamykać — dodał szydząc Paweł z Brzega. — Chleba nie piec, mięsa nie bić, niech Ślązacy głodni po dworach plądrują...

— Słyszycie rozkazanie! — wielkim głosem powtórzył Wójt. — Tak ma być jakom rzekł.

I dodał szybko.

— Ludzi trochę dodadzą Ślężacy, Biskup też swoich wyśle. Jutro na zamek. Muskata ma swoich stróżów przy kościołach i klechów na zamku, ci pomogą.

Nikt nie okazał po sobie gotowości do spełnienia przykazania tego, tylko Keczer śmiało na-przód wystąpił.

— Czyja wola, — rzekł, — niech czeladź daje, a ja nie puszczę, nie dam i jednego pacholka nie poślę. To ostatnia zguba.

— Ja też! — odezwał się Paweł z Brzega.

Drudzy sobie w oczy patrzyli, ale protestować bali się.

— Nas dwu, mała rzecz — dodał Keczer, — ale gdy się mieszczanie rozmyślą, znajdzie się nas więcej, — ludzi nie damy!

— To głowy dacie! — ryknął Wójt wściekle ręką bijąc o stół.

Nim Łoktek wasz przyjdzie, pościnać każę buntowników!

— Probuście! — odparł Keczer i zwrócił się wolnym krokiem ku drzwiom. Paweł nie mówiąc słowa wychodził za nim. Nie tamowano im drogi— wyszli.

W izbie radnej zrobiło się cicho.

Wójt wargi do krwi gryząc, zwrócił się do Hermana.

— Każcie ludzi zbierać i zbroje gotować!

To rzekłszy za czapkę pochwycił i groźno powiódłszy oczyma po radnych i Wójtach, wysunął się krokiem ociężałym i niepewnym. Herman z Raciborza wnet za nim podążył. Ci co pozostali spoglądali na się, badając się wzajemnie.

— Próżne to wysiłki — rzekł Ortlieb. — Biskup nam nie wiele pomoże, bo tam mała garść kleszych sług, co ampułki zdatniejsi nosić niż miecze. Nasza czeladź w szynku bije się dobrze, ale na wały iść i do bram szturmować!!

Rozśmiał się gorzko. Tylman rzekł ponuro:

— Wójt, bo głowę postradał! Darmobyśmy rozkazy dawali, aby się jeno zbłaźnić!

Zwątpienie ogarnęło wszystkich, wzdychając rozchodząc się poczęli.

Albert wracał do swojego domu, w którym teraz gościem był nie panem. Małą izdebkę ciemną zajmował na dole, gdzie droższy sprzęt swój zgarnął. Na zydlu tu czasem drzemał, bo mu rzadko zasnąć dawano. Ledwie wszedł, gdy pachole strojne, wbiegło od ks. Opolskiego wołając go jak sługę:

— Do pana!

Czując na co zszedł Wójt dzikiem odpowiedział wejrzeniem — lecz musiał być posłusznym. Wstał zaraz i na wschodki wstępować zaczął.

Ks. Bolesław, któremu pobyt w Krakowie dojadł już srodze, bo się tu nie czuł panem — siedział z kilką Ślązakami nudząc się w izbie. Stali niektórzy, inni z dala poprzysiadali na ławach. Wszyscy byli powarzeni. Książę trzymał w ręku zrzynek pergaminowy. Domyślając się Wójta po chodzie — podniósł głowę.

— Przecież temu kiedyś koniec być musi, — odczuwał się głosem głuchym. Wyście nas tu ściągnęli — mówcież... co dalej?

Obiecywaliście mi złote góry! Ziemianie mnie nie chcą — czekam na nich napróżno. Sandomierzanie tamtemu się poddali, Sandecz ma w ręku!

Gdzież te wasze obiecanki, że go wszyscy mieli porzucić?

W miarę jak mówił, głos rosnął księciu, gniew się zwiększał. Siedział pochylony, zaczął się prostować, nadymać, wreszcie powstał i opierając się oburącz na stole, oczy wlepiając w Wójta, ciągnął dalej.

— Sądziecie, że wam to njdzie bezkarnie?? Ziemi nie posiadm... Miasto! co mi znaczy to liche miasto wasze i garść handlarzy?

— Com miał, tom oddał Miłości Waszej — odparł Wójt stłumionym gniewem. — Obiecywali mnie, obiecywałem ja. Mnie zdradzili. Przecież Sandomierz mieliście w rękach, zamek, gdybyście byli kazali go zdobyć, byłby wasz, a za nim poszłaby ziemia.

— Jam nie wojować przyszedł — odezwał się książę — ale brać, co mi się samo oddać miało. Zawojowywać gdybym chciał potrafiłbym bez was... Przyszedłem odbierać, co mi należało i co mi gwałtem narzucano!

Albert stał jak skazany winowajca, mileząc długo.

— Na jutro, — rzekł, — kazałem czeladź zbierać — i sam ją na zamek poprowadzę. Więcej nadto uczynić nie mogę.

Książę padł na swe siedzenie i spartł się na rękę. Wlepił oczy w Wójta. Ślązak Lasota, który choć polak już był całkiem zniemczał, a przy księciu urząd znaczny zajmował. Alberta zaś niecierpiał — rzekł pogardliwym tonem.

— Obiecywali nam wiele, a tu się ludzie tylko marnują. Często im suchego chleba brak, i wodę pić muszą... Szklanki piwa nie mają.

— To niech nie proszą o nie, — wybuchnął książę, — niech ławki i komory odbijają i biorą sami. Cóż my? głodem dla nich mrzeć będziemy?

— Dawno tak trzeba było czynić! — mruknął Lasota.

Drudzy na ławach z dala siedzący po cichu się urągali.

Co się z dumnym człowiekiem dziać musiało, wystawionym na te wymówki i szyderstwa — nie mogącym się uniewinniać, lekającym narazić — pojąć łatwo. Pot ciekł mu po skroni.

— O tem wy pewnie już wiecie, — zamruczał książę, że ziemianie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy i starszyzna ziem tych, jutro mają przybyć do nas — ale nie poddając się! nie!

— Ja o tem nie wiem, — jęknął Wójt. — Daj Boże, aby przybyli, W. Miłość słowy dobrymi może ich sobie pozyskać.

— Ja! — krzyknął książę — ale ja wiem i od kogo i z czem jadą!

Wstał znowu książę, na Wójta popatrzył, odwrócił się do Lasoty, i jakby odprawę dał, odezwał się do swoich.

— Na łowy nawet nie ma gdzie pojechać! Chyba z sobą cały pułk brać! Władysławowe oddziały całą okolicę zajmują. Wytknąć głowy za wrota nie mogą.

Wójt wyszedł po cichu. Ostatnia wiadomość jak piorunem go razila. Zapowiedziani ziemianie i rycerstwo przybywali od Łoktka.—Książę oddawna już nie okazywał ochoty utrzymywania się kosztem wojny przy Krakowie.

Mógł miasto wydać na łup Łoktkowi. Przerażony tem Wójt nie zachodząc do swej izby, na miasto wybiegł, zawrócił się, konia chwycił dla pośpiechu i sam jeden do Biskupa pokłusował.

Muskata lepiej od niego był zawiadomiony, na biskupim dworze trwoga panowała taka, jakby nieprzyjaciół już wkroczył do miasta.

Blady i drżący zaszedł mu drogę Biskup.

— Uchodźcie muszę — zawołał głosem słabym, — gdy mnie tu pochwycą, życia nie jestem pewny.

— Dokąd? — spytał Albert, który byłby go rad jako pośrednika zatrzymał. — Oddziały Łoktkowe po okolicach plądrują. Tu wam bezpieczniej — obronić możecie nas i siebie!

Wójt wnet pomiarkowawszy się, poprawił.

— Nic nam jeszcze nie grozi!

— Wszystko! — przerwał mu Biskup zrozpaczony. — Wracam od księcia — on wojować nie chce, nie myśli. Na Śląsk powróci.

Wójt stał jak skamieniały.

— Ojcze — odezwał się z boleścią — ojczyzno! choć wy nas nie opuszczajcie!

Muskata się cofnął na krok.

— Ja nie mam siły — rzekł zimno. — Nie mogę nic! Dajcie mi sposób ujęcia ztąd. Tu się strasznie gotują rzeczy! Przeciwnie mnie są wszyscy — jam bezsilny!

Niespokojny Biskup zawrócił się nazad ku izbie, z której był wyszedł — powtarzając: Uchodźcie — uchodźcie muszę!

Zdejmował z siebie suknię rękami drżącymi, patrzył na sługi szukając w nich pomocy, głosu mu brakło, oczy zachodziły łzami.

— Antychryst powraca! — mówił cicho. — Uchodźcie — — —

Albert pozostawszy sam, jak człowiek któremu zabrakło myśli i środków ratowania się, upadł na ławę, zapomniawszy gdzie się znajdował — nie myśląc nawet o własnem ocaleniu, zrozpaczony i odrętwiały.

IX.

Wrót miasta strzegły straże ze Ślązaków i pacholców miejskich złożone. Czuwać musiano u nich dobrze znając Łoktka, który do zuchwalej napaści z nienacka łatwy był. Smakowała mu ona. Ślązacy w mieście ani się bronić nie mieli ochoty, ani w niem dać wziąć.

Nazajutrz rano dzień wstał pogodny i ciepły.

Strażom się nie bardzo chciało siedzieć w miejscu przykutym — zabawiały się po izbach przy basztach, na miasto śląc po jadło i napitek. Kosterzy i włóczęgi wlokły się już na codzienną z ciurami zabawę — gdy na gościńcu ukazały się jadące wprost do miasta oddziały zbrojne.

Gromadki były okazałe, strojne i w pierwszej chwili, gdy się do dwu bram razem zbliżyły, Ślązacy ulękłszy się, w trąby zaczęli dawać znać jak o napaści.

Żołnierz rozproszony po mieście oddawna ubezpieczony, zleniwiały odgłosem trąby wołającej na gwałt — zerwał się spłoszony.

Rozruch powstał, jakby już nieprzyjaciół był w mieście. — Od wrót jak błyskawica popłoch szedł do rynku. Kramy i ławki z krzykiem zamykać zaczęto, ludzie biegali bez celu, nikt nie wiedział co się stało.

Strach był tem większy.

Od księcia oklep na koniach, bez nakrycia na głowach, bez zbroi dworzanie popędzili ku wrotom.

W rynku wołano, iż Łoktek już stoi we wrotach. Tylko co we dzwony na gwałt nie uderzono.

Ks. Bolesław zbroję sobie podawać kazał, choć prawie pewien był, iż nadjechali ziemianie.

W ulicach wołano na żołnierzy i trąbiono, wypadali z szynków bezprzytomni biegnąc po oręż, którego nie mieli przy sobie.

Tym czasem dwa oddziały, co się razem do dwojga bram zbliżyły, nie okazując żadnych nieprzyjacielskich usposobień, stanęły na strzał z kuszy przed wrotami i herold wyjechał wołając, że rozmowy żądają.

Ludzie na straży poznali, iż Łoktkowy był, bo miał orła jego na piersiach.

Nie było się komu z nim rozmówić, póki Fnld i Lassota nie przybyli.

Tym oświadczyli spokojnie, iż ziemianami są krakowskiemi, z Sandomierza, Kujaw, Siera-

dzia, a dopraszają się u księcia łaskawego neha i rozmowy.

Ks. Bolesław już poniekąd był przygotowany. Rycerstwu odmówić do siebie przystępu nie mógł. Kazano tylko czeladzi za wrotami pozostać, a przybyłych ziemian wpuszczono.

Poczęli tedy wolnym krokiem wjeżdżać mężowie poważni, sędziwi, lat dojrzałych, — wyznaczeni znać do stawienia się przed księciem, strojni wytwornie, na koniach pięknych. Żaden królewski dwór nie powstydziłby się być tak pięknego orszaku.

Przy każdym prawie jechało pacholę z tarczą, na której zawołania miały godła swe malowane, albo z kruszczu wysadzone.

Jechał przodem Żegota Toporezyk, rycerz mężny i sławny, wiodąc za sobą innych swego rodu, ludzi z obliczami pańskimi, wojowniczej postawy. Za nim postępowali Trepkowie, będący u ks. Władysława w zachowaniu wielkiem, za nimi Jaksy Gryfy z Ratnudem, mężem wiekowym, ale jak dąb czerstwym i silnym; Jastrzębiec Mszczyn podkomorzy krakowski wiodący swoich ile ich było w tej ziemi i z Mazowsza kilku. Jechał dalej Petrosław Lis ze Mstyczowa, a przy nim młody jeszcze Prandota z Kozieglów i Sreniawici krakowscy i sieradzey, a między nimi Kmitowie. Dalej Nałęcze choć w niewielkiej liczbie, bo z tych dużo za śmierć Przemysławową pokutowało i Ab-

danki i Pobóg, Przedbór z Koniecpola z Jakóbem Sieradzkim. Bogoryów kilku, Ligęzowie z Bobrku, Brogi ze Skarzeszowa, Gozdawy, Strzemińczycy z Zębocina, Nieczujowie Sandomierscy, Role z Wielkiej Polski, Trzaski z Sieradzkiego, Radwany, Ślepowrony, Dąbrowy z Rostkowa, Wawrzętowie i innych mnogo, których szczytów wszystkich wyliczać trudno.

Nie mało też między niemi duchownych było, którym przód dawano okazując uszanowanie.

Gdy wspaniały ten, długi pochód rozwijać się począł wśród nlic, Ślązacy, ślązki żołnierz i po-
tęga ślązka tak jakoś przy nich zmalala, iż ci przybywający choć oręża nie dobyli, zdawali się tu panami prawemi, a wszystko reszta cudzem i naniesionem.

Mieszczanie, co z okien i drzwi na poły po-
otwieranych spoglądali, czuli w duszy, iż to je-
chali panowie a dziedzice tej ziemi, a z niemi
szła sprawiedliwość. Na twarzach jadących taki
spokój panował, a oblicza mieli tak jasne, jakby
nie wjeżdżali garścią prawie bezbronną w środek
nieprzyjacielskiego obozu.

Milczeniem przyjmowało ich miasto, niemcy
się kryli, niewiasty przerażone płakały, zdało się
wiernym, iż jechało nie ziemiaństwo, ale sam
Łoktek, ów mały a straszny — a z nim dzień sądu.

Ciągnęli jakby naumyślnie powoli, konie wstrzy-
mując, gwarząc pomiędzy sobą, śmiejąc się, pewni

siebie. A że gdzie indziej miejsca nie było by wszyscy razem zgromadzić się mogli, przeto na rynek przybywszy tu się ustawiać zaczęli, rodami, szczytami, ziemiami, zawołaniami, ze starszyzną na przedzie, która sędziwe stanowiła grono.

Na ratusz zbiegający się mieszczenie, gdy ich tak przeważnie wciągających ujrzeni — struchleli od trwogi. Wójt stojący w oknie, pobladł, zachwiał się i cofnął z niego.

Lasota do księcia biegł oznajmując, iż ziemianie nań oczekiwali.

Uprzedziwszy go Fuld już dal był znać Ślązakowi o liczbie i powadze poselstwa tego. — Książę nie pewnym się okazał co pocznie. Widać było, że wszelką stracił otuchę. Kazał jednak podać sobie zbroję swoją turniejową, z orlem na piersi, szyszak złocony, miecz godowy, płaszcz książęcy, a dworowi przywdziać szaty i uzbrojenie odświętne.

Już miał na koni siadać, gdy nagle zachwiał się, rozmyślił i pozostał na wójtowym dworze.

— Nicch z między siebie przedniejszych mówców wybiorą, — rzekł do Lasoty, — i przyślą do mnie. Ze stu na raz mówić nie mogę. Wszak jedno myślą, gdy kupą jadą, dość kilku do rozprawy.

Gdy poselstwo to na rynek przyniósł Lasota, starsi wyjechali na środek, rozmówili się z sobą, porozumieli i wybrali Żegotę Topora, Trepkę, Mszczuja Jastrzębca, Petrosława ze Mstyczowa,

i Ligęzę. Młodszego Trepkę za oratora wyznaczono, któremu inni posiłkować mieli.

Albert Wójt choć w trwodze od rana po bezsennej nocy, czując że i on pociągniętym tam być może, odział się jak na uroczyste posłuchanie, łańcuch włożył, miecz przypasał i z ratusza tyłami do swojego domu przeszedłszy, na dole czekał. W ulicach starał się nie być poznanym, bo zdrajcą go wszyscy wiedzieli, obawiał się napaści.

Książę Bolesław stał we zbroi, szyszak w ręku trzymając, w postawie dumnej i pańskiej, więcej serca chcąc okazać niż go może miał, gdy weszli oratorowie.

Powitali go ukłonem niskim, z poszanowaniem Piastowi należnem, choć tam już onej krwi starej, którą pochłonęła niemiecka, ani kropelka się nie odzywała w piersi zamkniętej...

Książę witał uprzejmie, acz po twarzy widać było, że wielce się frasował.

Wystąpił Trepka ze słowem:

— Przychodzimy tu do miłości waszej, od siebie i od prawego pana naszego, księcia Władysława, ziem tych ojczyce i dzieci — z pokłonem i prośbą. Wasza miłość zająłeś dzielnicę, która mu nie przynależy, ale pannu Władysławowi, chcesz ją sobie przywłaszczyć, co jego dostojestwu i znacności nie przystoi. Wezwali waszą miłość płosi ludzie, ledwie od niedawna tu osadzeni, niemieccy mieszczenie krakowski, których dobrodziejstwy

obsypali Bolesław i Leszek, niewdzięczni a prawa tu niemający...

Więc wojna ztąd i rozlew niewinnej krwi chrześcijańskiej przyjść musi; bo pan nasz prawy, któremu my wierni jesteśmy wszyscy i wiary dochowamy, jako całe życie praw swych bronił i nieustraszony był, tak się też strwożyć nie da i bez walki odegnąć.

— Miłościwy panie, — dodał stary Żegota — Pomyślcie sami co byście czynili, gdyby wam po przodkach odziedziczoną dzielnicę waszą wydrzeć chciano? Bronili byście ojcowizny do ostatniej kropli krwi, — tak też pan nasz będzie jej strzegł i walczył za nią.

— A że zdolnym jest obronić się, — rzekł Mszczuj Jastrzębiec, — W. miłość to wiesz boś z nim walczył.

Na wspomnienie to swej niewoli młodzieńczej, książę Bolesław zarumienił się, a Jastrzębca nieopatrzniego gorączkę (jak oni wszyscy rodem bywają), że się wyrwał ze słowem gorzkiem, wnet drudzy odciągnęli, mówić mu już nie dając.

Bolesław czerwienił się i blednął.

— Jam ci tu nie przyszedł po samowoli — odezwał się. — Ciagniono mnie i wciągnięto zapewniając, że ziemie wszystkie chcą tego. Jeżeli kto winien, to mieszczenie krakowscy i Wójt ich, bo ten mi ręczył, że z wolą wszystkich przybywał do mnie...

— Nie łakomy jestem cudzego, ale nie godziło mi się odrzucać, co samo się oddawało. Przecież ziemiaństwo krakowskie nie jeden raz panów sobie wybierało i zmieniało.

— Ale niemcy mieszczenie nam ich nie narzucali! — odezwał się Żegota. — Oni tu przybysze, my ojczyce.

— Proszono mnie, kłaniano się, domagano — odezwał się Opoleczyk. — Ściągnąłem wojsko, nie mało miałem utraty — a teraz chcecie, abym ustąpił sromotnie?

— Miłościwy książę! — mówił Trepka — ustąpić nie będzie sromotą, ale czynem szlachetnym i pocziwym. W. Miłość ludzie niegodziwi uwiedli i w tę matnię wprowadzili. . . Wina i srom pada na zdrajców, W. Miłości zostaje cześć i sława, żeś sprawiedliwym być umiał!

Wyrazy te pochwiliły księcia, skłonił głowę dziękując za nie.

— Nie jestem żądny ani ziemi, ni panowania — dodał — ale sławy swej strzedz muszę i będę, a uszczerbić jej nie dam.

— Nie poniesie ona szwanku żadnego — odezwał się stary Toporeczyk — owszem, nowym się okryje blaskiem.

— Wojna jest sprawą nieobrachowaną i niepewną — dorzucił Jaksa Ratuld — komu Bóg w niej poszczęści, nie wiadomo. Ziemian nas wszystkich ile jest Krakowian, Sandomierzan,

Sieradzan, pan nasz mieć będzie z sobą. Mimo wieku, krzepki jest, niezmordowany, nigdy w życiu żadnej się walki nie uląkł. Zechceszli W. Miłość wojować... z mieszczan pomoc nie wielka, a swojego rycerstwa stracić można wiele. Książę Władysław na Kraków ciągnie, aby swój gród, żonę i dzieci odzyskał, — ale przelew krwi nie pragnie i posyła nas ze słowem pokoju.

Stał walcząc z sobą książę Bolesław, patrząc w ziemię, ramionami potrząsając, zbroja zdradzała oddech pospieszny i wewnętrzną walkę z sobą.

Wszyscy milczeli patrząc nań. Wystąpił opat miechowski, od którego wójta brat, Henryk, majętności trzymał dzierżawą, — ten lękając się o swe mienie, Łoktkowi chciał służyć i odezwał się też, księcia nakłaniając do zgody i pokoju.

Książę przekonany już był i szło mu więcej o sposób, jakim się miał wycofać, niż o sprawę samą, bo ją miał za straconą.

— Widzicie sami — odezwał się — iż ja uwiedziony zostałem i tak jak wasz pan zdradzony, oszukany. Wojny się nie lękam, ale też jej nie pragnę, zawojowywać nie chciałem, zamkum nie brał, choćbym mógł... Szedłem, bo mniewołano — za coś pokutować mam...

— Niech winni a zdrajcy pokutują, nie Miłość Wasza — rzekł Jastrzębiec — przedewszystkiem Wójt — który wszystkiemu przyczyna. — Ten — gardło powinien dać.

Książę nic na to nie odpowiedział. — Chwilę myślał i odezwał się ociągając.

— Powiedzcie ks. Władysławowi, jak was przyjąłem, — zanieście mu i tę odpowiedź ode mnie, że jego ziemi zawojowywać nie miałem zamiaru. Dawano mi ją — zawierzyłem ludziom złym! to cała wina moja!

— Miłościwy panie! — przerwał opat gorąco — nie ma tu winy żadnej. Nie ten winien, kto zawiera, ale kto zawodzi.

Książę Bolesław weselej patrzył, zawiązała się rozmowa poufalsza. Przystąpił stary Żegota, za nim inni, okazując mu uszanowanie, ochraniając cześć jego, wychwalając miłość pokoju.

Wszyscy też radzi byli, że się sprawa daleko lepiej kończyła, niż się spodziewali. — Lica się rozjaśniały. — Żegota i Ratul, mający do tego od księcia upoważnienie, na stronie po cichu umowę z księciem Bolesławem dokonywali, o której warunkach głośno nie mówiono.

Do czego się oni zobowiązali w imieniu Łoktka, nie wiedział nikt, ale całe zgromadzenie ziemian porękę dawało, że co przyrzeczono, dotrzymanem będzie.

Gdy na górze się losy nie tylko stolicy tej, ale wszystkich ziem rozstrzygały spokojnie, wójt Albert stał sam, opuszczony od wszystkich, w sumieniu niespokojny, wiedząc, że się przebaczenia spodziewać nie może, ani od księcia Bolesława,

którego o ciężki zawód przyprawił, ani od Łoktka zdradzonego. Myślał tylko jak ujsć, życie i mienie ocalić.

W izbie swej przyciemnionej, rzucił się chodząc, odzież szarpiąc na sobie i jęcząc z bólu. Czasami stawał i słuchał głosów, które go przez drzwi na pół otwarte dochodziły z góry, starając się odgadnąć, co postanowi Szlżak, z czem odejdą posłowie...

— Sromać się będzie precz iść i ustąpić — mówił w duchu — książęciem jest, nie da się wygnać ze wstydem... Będzie musiał wojnę prowadzić! a czasu wojny i my i Kraków mu potrzebnym!

Mówił tak, ale sam nie wierzył w taki obrót sprawy i trwoga przychodziła a zwątpienie.

W tej męczarni i niepewności długie mu się godziny w izbie spędzone wydały, lecz im bardziej przeciągało się posłuchanie, tem więcej wmaślał w siebie, że wojna jest nieunikniona.

Tak na przemiany rozpaczając i nabierając otuchy, Albert w końcu zabierał się wychodzić, aby o losie swym rychlej się dowiedzieć, zamysłując, gdyby Bolesław wyszedł, uciekać do Czech, do Boskowiczów, układając tylko środki uratowania nagromadzonego grosza, gdy na górze dała się słyszeć wrzawa jakaś, suwanie nogami, wykrzyki głośniejsze, jakby goście żegnali się z księciem...

Wpředce potem zaczęli posłowie ze wschodów się spuszczać, cisnąć się, stąpając silnie — i rozmawiając głośno....

Z pierwszych wyrazów, jakie go doszły, nie mógł się omylić; odzywała się radość i zwycięstwo...

Albert oczy zakrył dłońmi.

Nim przyszedł do siebie, drzwi, u których stał, rozwarły się nagle z trzaskiem. Fuld wpadł ze trzema pacholkami uzbrojonymi. Dowódzca, który wczoraj z wójtem był jeszcze dosyć przyjacielskim, ukazał się wcale innym człowiekiem. — Wchodził z brwią ściągniętą, wąsa muskając.

— Książę rozkazał mi was ująć i do więzienia dać — rzekł sucho.

Wyrok ten, po wszystkim, co doznał przed chwilą, Albert przyjął prawie obojętnie. Fuld nie myśląc się wdawać w rozmowę, skinął na ludzi, a sam się do drzwi zawrócił.

Wójt rzucił się na zydeł i spał o ścianę. — Zbrojni stróże stanęli przy nim.

Posłowie powracali do swoich na rynek. Gdy wychodzili z domu wójta, we drzwiach ciżba ogromna ludu czekała na nich ciekawa, wypatrując co niosą...

Śmielsi rzucali pytania, ale nikt się nie wdał w rozmowę. — Twarze wypogodzone, oczy wesole za odpowiedź służyły.

Gawiedź popatrzwszy rozpraszać się zaczęła po mieście.

Tymczasem do stojących w rynku szczególnie Krakowian, garnęli się i przysuwali dawniej znajomi mieszczanie. — Zawiazywały się rozmowy, narzekano po cichu, ziemianie milezący byli.

Powracający od księcia do swoich, głośno tu z niczem się nie wypowiedzieli, dawano sobie znaki nieme, szeptano cicho.

Wkrótce rozległo się hasło.

— Na konie! na konie!

Żegota nie zsiadłszy nawet ze swojego, przodem już jechał ku wrotom, drudzy spieszyli za nim. Miasto jak rażone strasznym ciosem, martwe stało...

Niemcy czuli, że nadchodziła zła godzina. Biegli do domów swoich z rozpaczliwemi ruchy, ręce łamiąc, niewiasty jęczały i zawodziły. — Nie wiadzano nic, ale przeczucie straszne trwożyło.

W ratuszu, dwaj wójtowie, chodzili po izbie radnej sami, bo Herman z Raciborza, zobaczwszy powracających posłów, wybiegł na zwiady. Na wschodach spotkał pisarza Gotfryda, zbladłego, trzęsącego się, który wyjąknął:

— Alberta pod straż wzięto!

Jak piorunem raził go tem słowem.

Wójt pod strażą, uwięziony, znaczył wyrok na miasto. Oddawano więc je na łup i pomstę Łoktkowi.

Prawie w tejże chwili trąbienie dało się słyszeć w ulicach. Ślężacy się zwoływali. Konni posłańcy od księcia zaczęli w czwał pędzać po zaułkach i kątach, krzycząc i wyciągając ludzi, jakby nieprzyjaciela mieli na karku. Miasto przedstawiało obraz dziwny. Od dni kilku panowała w nim jakaś trwoga, rozdwojenie, niepewność jutra... Teraz, jak na dane hasło, co żyło, poruszało się, spieszyło — usiłując ratować, a nie wiedząc gdzie szukać ratunku. Ślężacy zbierali się kupami i przeczuwając rychły odwrót, chwytali co napadli pod ręką, mieszczanie bronili swej własności, tłuniono zbytnią wrzawę, aby nie wywoływać gwałtów i rabunku. — Kto mógł, zamykał się w domu, bojaźliwsi chwytali kosztowności i pieniądze, szukając kątów, w którychby je ukryć mogli. Sąsiedzi biegli do bliższych dowiadywać się, radzić, obmyślać wspólną jakąś ochronę...

Wieść o uwięzieniu Alberta obiegała już miasto, z przyjaciół jego nikt pewnym bezpieczeństwem nie był. Wszyscy uchodzić chcieli, ale okolica zalana była oddziałami Łoktka, Ślężacy też rozbijali po drogach, łotrzyków pełno było wszędzie. — Nie wiedzieć gdzie skryć się i co z sobą począć było!

Wśród głuchego gwaru, niekiedy rozległ się trzask gwałtownie zamykanych wrót, zapadających wrzeczadźwów. W dziedzińcach roilo się wy-

straszonemi. Niektórzy wybiegli do klasztorów i kościołów, dla siebie lub mienia swego szukając schówki i opieki.

Z jednej strony, co trzymało z wójtem, Hermanem z Raciborza i zausznikami jego, cisnęło się do kamienicy w rynku — aby tam radzić o sobie. Przeklinano Opolczyka — łajano Alberta, że nie przewidział wcześniej tak strasznego końca.

Drudzy, Paweł z Brzega, Hincza Keczer, wszyscy przeciwnicy Alberta, głośno się odzywali, że miasto o sobie samo radzić musi, bronić życia i majątku.

Hincza wołał:

— Radzcy nie radzcy, wszyscy, kto ma głowę do ocalenia, na ratusz... Trzeba myśleć o sobie, gdy rozjątrzony pan tu wnijdzie, nie czas będzie się tłumaczyć! Na ratusz!

W ratuszu pachołkowie nie wiedzieli kogo słuchać, — ale Hincza i Paweł podnieśli głos tak stanowczo rozkazując, iż się im sprzeciwić nie śmiano.

Wyprawiono gońców po tych, co z wójtem nie trzymali.

Powołani znaleźli się łatwo — czuli wszyscy nadchodzącą sądną godzinę. — Od Szlązaków wiadziano już, że otrąbiono zbieranie się nazajutrz i wyciąganie z miasta, które samo sobie oddane być miało na mściwą prawicę Łoktka.

Pawłowi, który wobec niebezpieczeństwa całą swą żywość odzyskał, przyszło na myśl Marcikiem się posłużyć. Trudność była wywabić go na miasto, dopóki w nim Szlżak gościł.

Wystraszeni znaleźli się na ratuszu Hincza Keczer... Niklas z Zawichosta, Pecold z Rożnowa i inni. Gdy tych idących do radnej izby z okna domu swojego w rynku zobaczył Herman z Raciborza, niepokojem tknięty, wyrwał się także do nich.

Ledwie się w progu ukazał, gdy Paweł zakrzyczał.

— A wy tu po co? Z kimeście trzymali, do tego idźcie! Dla was tu miejsca nie ma.

Herman wstrząsnął się z gniewu, chciał się klócić, lecz wszyscy odstąpili od niego, jak od zapowietrzonego i od progu musiał nazad iść przeklinając i grożąc.

— Mamy ginąć — zakrzyczał rękę podnosząc — niechże wszyscy giną, niech ginie miasto całe... Podpalemy je na cztery rogi!

Idący właśnie na górę Hanusz z Muchowa, spokojny człek, usłyszawszy to, zatrzymał go i zawołał donośnie:

— Słuchaj, ty! Niech tylko iskierka błysnie, a ja cię sam przyciągnę i dam obwiesić pod Ratuszem... Tak mi Bóg zdrowie daj!

W izbie radnej wrzało narzekaniami.

— Jęczeć i kłać babska rzecz — zaryczał ogromnym głosem Hincza Keczer — radźmy!

— Gdyby rada jaka była! — przerwał Piotr Moryc.

— Jest rada jedna, że choć się wszystkich nie ocali, niektórym przynajmniej łby na karkach zostaną — odezwał się Paweł z Brzega. — Ślężacy jutro wychodzą, my musimy jechać do księcia Władysława, aby mu pokazać, żeśmy nie wszyscy z Albertem trzymali, — a prosić i błagać, by łaskaw był.

— Tak — odezwał się Hincza z Dorneburga — i pierwszych, którzy mu się przed oczy nawiną w gorącości powiesić każe! Ja go znam! U niego zowie się, że całe miasto winno... Nie przebaczy nikomu! — Zemsta będzie okrutna. Ten, co nas zgubił, pójdzie na Szląsk uwięziony i głowa mu się ostoi na karku — z nas żaden nie powinien swojej.

— Nie może to być — przerwał Keczer. — Dużo padnie ofiarą, miasta przecież z ziemią nie zrówna, bo mu ono potrzebne.

— Ale Niemców wszystkich przegna precz!

— Nadto nas jest! pustki by zostały.

Spierali się z sobą. Paweł obstawał przy swoim, aby do księcia śłać posłów i dodawał po cichu, że się spodziewa znaleźć pośrednika, który rozgniewanego Łoktka ułagodzić może.

Zgody na to nie było jeszcze, gdy Fuld, dowódca Ślżaków wpadł na ratusz, nie tak jak dawniej, gdy tu przychodził na przyjacielską biesiadę, — ale jak napastnik.

Za nim gromada Ślżaków się parła.

— Kto tu z was starszy teraz? — zapytał.

— Nie ma tu starszego, bo wójta trzymacie pod strażą — rzekł Paweł.

— Jest przecie dwóch wójtów jeszcze...

— Tych tu nie ma!

Hanusz z Muchowa, poważny człek, wystąpił nieco.

— Czego chcecie? — spytał.

— Oplacić nas musicie — zawołał Fuld. Nie braliśmy żołdu. Książę go nam nie da... Musimy z miasta wziąć. — To jego wola.

Spojrzeli wszyscy po sobie.

— My skarbcem nie rozporządzamy.

— Kluczy nie mamy — rzekł drugi.

— Dawno w skrzyniach pustki — dodał trzeci.

Ślżacy cisnęli na Hanusza.

— Skarbiec? gdzie skarbiec?

— Gdzie chowacie skarby?

Nikt nie odpowiadał.

W tem jeden z zuchwalszych Ślżaków za gardło pochwycił najbliższego mieszczanina, a za jego przykładem drudzy porwali się do innych. — Uchodzili spłoszeni ku drzwiom, ale tu mocna straż stała odpychając berdyszami.

Krzyk powstał i wołanie na gwałt, — aż jeden duszony o skarbcu miejskim powiedział gdzie jest...

W drngiej izbie skrzynia była żelazna, kowana, wielka, do ściany sztabami w mur wpuszczonemi przytwierdzona.

Kluczów od niej nie miał nikt, a było ich trzy różnych.

Fuld natychmiast kazał odbijać zamki. Toporów kilka jakby naumyślnie tam porzuconych stało przy ścianie, porwali je Ślązacy.

Mieszczanie z obojętną jakąś rezygnacją patrzali na to łupiestwo — nikt nie bronił.

Ze skrzynią, która niemal cała była jak zbroją żelazem opancerzona, trudniej szło niż się zdało zrazu. Topory żelaza nie brały, a drzewa na wierzchu tak jak nie widać nie było.

Cheiwe żołdactwo rzuciło się do skarbcza z taką siłą, że w końcu zamki prysnęły, wieko pękło, poczęli miotać zeń drzazgi — i dostali się do wnętrza.

Wewnątrz była skrzynia na dwoje podzielona. W jednej części leżały pargaminy z pieczęciami przywiesistemi, w drugiej na dnie tułało się trochę pragskich groszy szerokich.

Ślázacy ze złością poczęli pargaminy miotać i szarpać, mieczami je ciąć, na podłogę ciskać, nogami deptać. Drudzy rzucili się do srebra i gar-

ściami je rwali, tak że Fuld musiał obuchem po łbach tłuc, aby zmusić do odstąpienia.

Nie wiele się tu pożywili, ale miasto miało puhary, bechery, roztruchany, misy srebrne, które też w skarbcu leżały — te wszystkie padły ofiarą. Było kilka łańcuchów złotych i pozłocistych, które mieszczenie dali do schowania, zabrano i te, nie pytając, czyje były. W końcu, drewniane dno skrzyni pokazało się przysute pyłem i okryte sukną kawałami.

Z łupem swym, wietrząc jeszcze po kątach, chwytając co lepsze było i zdatne dla nich, Ślązacy, jak trzoda głodnych stworzeń — obrzemieszczeni nazad się zaczęli z ratusza wynosić.

Niemi i zrozpaczeni stali mieszczenie.

— Sądny dzień! sądny dzień! — powtarzał Hanusz z Muchowa. — Za grzechy pokarał nas Bóg. Ale to — początek dopiero!

Ze spuszczonemi głowy stali tak długo, aż Hincza Keczer, zobaczywszy poszarpane pergaminy, podarte księgi, połamane pieczęcie, pierwszy począł je z podłogi podnosić z poszanowaniem i w milczeniu smutnem nazad je do pustej składać skrzyni.

— Pozostało nam choć świadectwo, żeśmy ongi przywileje i prawa mieli — rzekł smutnie. — Przepadną one teraz wszystkie i my z niemi.

Jęczeli wszyscy...

Wieczór nadełodził. Nikt nie myślał o zapro-

wadze i ładn i bezpieczeństwa w mieście. Veit zniknął, Viertelnicy się rozproszyli i pochowali. Wójtów nie było, władzy i rządu nie było... Ślężacy płądrowali. Kto czeladź miał, uzbroiwszy ją trzymał we wrotach ku obronie, aby napaść odeprzeć. Szeluta i inni browary zawczasu pozamykali, ale żołnierze poodbijali wrota.

Beczki wytocono i pito nie płacąc...

Na zamku, dokąd Musza już dał znać o wszystkim, radość panowała wielka, Marcik czekał tylko, by wyciągnęli Ślężacy.

Nocą Muskata w szarej opończy, przebrany chciał się z miasta wydobyć, ale mu znać dano, że oddziały Łoktka w pobliżu się włóczą. Musiał powrócić, a nad ranem pieszo przemknąwszy się do Dominikanów, znikł w ich klasztorze.

Ledwie na brzask się brało, gdy Ślężacy cicho, chorągwie pozwijawszy, z miasta się wysuwać poczęli, a za nimi wozy ładowne i konie poobjuczane. Księcia Bolesława wschodzące słońce już tu nie zastało. Najlicniejszy oddział wyciągnął Floryańską bramą, prowadząc z sobą pod silną strażą uwięzionego wójta Alberta.

X.

Słowiki śpiewały w wierzbach i zaroślach na powiślu, po miejskich ogrodach i po gajach, nie wiedząc i nie troszcząc się o to, że jęki i narzekania wtórowały im w grodzie całym.

Ranek wschodził wesół, wiosenny, okryty rosą, zielony...

Marcik stał na wałach, trzymając się w boki i patrzył a serce mu biło żywo. Czekał tylko na to, by mógł bramy otworzyć bezpiecznie a ludzi wygłodzonych i znękanych puścić, aby się na Okolu przewietrzyli.

Mieli mu dać znać, gdy ostatni Ślązak będzie za bramami. Tymczasem Paweł z Brzegasam, nie czekając na innych, spieszył pod zamek pot ocierając, bo mu przy jego tuszy i to ranne ciepło już było ciężkiem do zniesienia. Marcik

postrzegłszy go zdala — poznał uradowany, nim on go zobaczył.

— Oho! Idzie koza do woza! rzekł śmiejąc się — Paweł jak w dym do mnie!

Po wałach pobiegł przeciw niemu — wołając:

— Paweł! Bywaj! Co u was słychać?

— Trupami, trupami u nas czuć! — westchnął, ręce ku niemu wyciągając mieszczanin — Marciku, stary druhu! Ratuj!

— Ja? rozśmiał się Suła — albo to w mocy mojej ratować tych, co pana zdradzili? Ja mierzny człeczyna, miałbym się na co przydać?

— Każ no mnie wpuścić furta — na rany Chrystusowe — począł Paweł — w mieście nikogo nie ma... Musimy pomówić z sobą.

We wrotach ludzie pogotowiu już stali, rychło li otwierać każą, gdy Paweł zapukał. Puszczono go zaraz. Łzy miał na oczach rzeźnik i razem je z potem ocierał.

— Marciku! przyjacielu! Byłeś nam druhem — bądź nam obrońcą! Ratuj miasto! — jęczeć począł.

— Pana Boga proście, nie mnie — rzekł smutnie Suła, on chyba jeden ratować was może...

Nie wiem — czy gdyby nasz święty Stanisław z grobu wystąpiwszy rzekł panu naszemu: Przebacz im — nie wiem czy jego by posłuchał. Ci, co go widzieli i słyszeli, powiadają, że nigdy w życiu tak gniewnym nie był, jako dziś. — Poprzysiągł, że zdrajcom nie pofolguje...

Paweł oczy sobie zakrywwszy, zajęczał. — Milczeli. — Marcik patrzył w dal.

— Słuchaj Sula — odezwał się rzeźnik. Czy my co potrafimy czy nie, to Bóg wie, ale próbować potrzeba. My cośmy z Wójtem nie trzymali, — bo za nami to poświadczyć możecie, — chcemy z blaganiem jechać przeciw niemu. Jedź ty z nami!

Marcik się strząśł. — Dajcie mi pokój, ani mogę, ani chcę! On, jak jest teraz w gniewie, mnieby razem z wami gotów dać obwiesić.

Przerwał i spytał żywo.

— A z Wójtem co się stało?

— Uwięził go Bolesław i zabrał z sobą. — Będą go trzymali w lochu, ale głowę ocali i wykupi się może, nie on, to brat znajdzie na to.

My choćbyśmy uchodzić chcieli, nie mamy dokąd. Domy — ludzie — żony — dzieci... (zajączał). Sula! człowiecze coś serce miał, jedź z nami... Miasto ci się...

Nie dokończył, gdy Marcik mu przerwał.

— Co? miasto mi zapłaci? — wy mnie kupować myślicie?

Fartuchem twarz ocierając i wzdychając jak miechy, Paweł słowa nie znalazł na uniewinnienie.

— Marciku — zawołał — miałem cię za druha! Chleba i soli z sobą zjedliśmy dużo, a teraz gdy burza nadchodzi, ty...

— Tak ci jest, przerwał Marcik—jadłem chleb i sól waszą, ale mi one żółcią były zaprawne. Jedyna rzecz, której od was pragnąłem, ta niepocziwa Greta, drwiła ze mnie, popychała, wodziła nadaremnie... Życiem dla niej zmarnowałem.

— A cóż ja na to mogę! westchnął Paweł. Wiecie, wyjechała znowu do Wrocławia... tam pewnie gachów ma i jak mnie, jak was, tak ich wodzi. Co wam po niej!

— Co po niej?—odezwał się Marcik gorąco. Dajcie mi ją tylko, a ja sobie z nią poradzę...

— Jakże ja ci ją mam dać, kiedy jej nie ma—odparł tęsknie Paweł— a gdyby i była, ona ze mną, jak z wami, robi co chce...

Zamyślił się rzeźnik, oczy w ziemię utopił i podnosząc je z wolna na Marcika—odezwał się cicho.

— Wiecie co? hm! wiecie co? Ja ją znam. Jak się tylko dowie że Wójta nie stało, powróci pewnie do Krakowa... Ja, prawdę rzekłszy, jestem jej opiekunem, choć nie wiem, kto nad kim z nas ma opiekę—klnę ci się na Boga, wezmę się do niej ostro... zmuszę—uproszę, weźmiesz ją. Będziesz ją miał!!

Marcik posłyszawszy, cały rozradowany skoczył go ścisnąć.

— Przysiąż — zawołał.

— Gotowem — ale pojedziesz z nami do księcia.

— Kat bierz! pojedę! krzyknął Marcik, ale Greta moja! Paweł głową kiwnął— czynił ofiarę niemałą, bo — bo miał może nadzieję, że sam ją weźmie.

— Stój że tu — mówił spiesźnie Marcik. Biegnę do kasztelana Pakosława opowiedzieć mu się. — Pomogę wam ile zmożę — Bóg jeden wie! Ale Gretę choć by przyszło gwałtem brać — pomożecie mi?

— Bierz, bierz! zamruczał Paweł — choć — stanie ci ona kością w gardle!

— Gardła ja swego dopilnuję — rzekł Marcik wesoło — byłem ją miał!

Okolo południa, gromadka z kilkunastu koni złożona, z Marcikiem Sulą na przedzie, z miasta wyciągnęła. Miano języka o księciu, że już w drodze do Krakowa był, bo Trepka wprost doń jechał, oznajmując, że miasto otworem stoi...

Trzeba było tylko Ślązaków przepuścić, nie spotykając się z nimi — bo gdyby się zetknęły dwa wojska, Łoktek za swoich nie ręczył, do utarczki przyjść mogło...

Z Marcikiem jechali do księcia: Paweł, Hanusz z Muchowa, Hincza Keczer, Niklasz z Zawichosta i Amylej z Muchowa. Czeladzi z sobą wiele nie brali, chędogo lecz ubogo, od miasta w żalobie wybrali się posłowie.

W drodze ledwo kto przemówił słowo, patrzali z trwogą przed się, a u każdego krzyża

żegnali się, wzdychali, czapki zdejmowali pokornie, pana Boga prosząc, aby cało powrócili.

Marcik nic nie obiecywał, za nic nie ręczył, tylko za to, że pana będzie się starał złagodzić-- i za dobrymi ludźmi wstawi się gorąco.

Paweł coraz to w drodze mu do ucha podszeptował.

— Ja w tém — Greta twoja!

Śmieszna to, dzika była miłość człowieka tego dla płochej niewiasty—kochał ją lat kilkanaście, a im gorzej mu z nią szło, tem się więcej upierał. Było z nią jak z zamkiem obleżonym, który gdy się żołnierzowi mocniej broni — tém on doń zajadlej szturmuje... Teraz już pewnym będąc, że ją nieć będzie, choć po niewoli — roił sobie szczęśliwość taką, jakby posiadał królestwo...

Po drodze mieszczanie pilno się starali dostać języka o Łoktku, aby niespodzianie się z nim nie spotkali. Ci, których pytali, opowiadali różnie, jedni że jeszcze w Sandomierzu był, drudzy że w Wiślicy, inni że w Sądziechu. Nikt na pewno nie wiedział, gdzie się obracał. Książę obyczaj taki miał, że o sobie umyślnie fałszne puszczał wieści, a najczęściej się tam znalazł, gdzie go się wcale nie spodziewano.

Paweł włosy sobie rwał na głowie, bo mogło się to stać, że gdy oni przeciwko niemu jechali, on tym czasem na Kraków wpaść mógł i miasto zburzyć...

Dnia trzeciego około południa, gdy postawszy trochę w lesie, aby burza przeciągnęła, dalej ruszali, nie dobrze wiedząc kędy ciągnąć, Jurga, który przodem pobiegł za językiem, nadskoczył, wołając, że w pół mili książę obozem leży...

Mieszczanie, choć do niego jechali, dowiedziawszy się że go mają tak blisko, struchleli. Paweł i kilku z nich zupełnie mężstwo stracili. Po drodze, na noclegach, Marcik im opowiadał, jak czasem, gdy pr ykładu potrzeba było, Loktek srogim a nieubłagany bywał. Wszystko to im teraz na pamięć przychodziło. Marcik, choć mu do pana serce biło, strwożył się w sumieniu, że dla jednej baby, której mu się zachciało, zaprzedawszy się, mieszczan miał bronić.

— Zostańcie wy tu — rzekł po namyśle do Pawła — ja pojedę przodem, bę łę się starał serce mu dla was naprawić. — Co będzie można, uczynię, kogo zdołam, ocaleę...

Zostali więc mieszczanie, a Marcik z Jurgą pojechał. Lecz nim do tego obozu w pół mili się dostał, obóz zwinięto i książę już był w drodze.

W lesie, goniąc za nim, postrzegł wreszeie Sula pana swego, jadącego z Toporem Żegotą i Trepką. Za nimi tuż orszak ogromny, chorągwie i wojsko liczne.

Z konia skoczywszy, poczał iść ku panu, który stanął i ręką go witał.

— Sula! Żyweś! — wołał wesoło.

Spojrzał mu w oczy Marcik i uląkł się. Widował on go w boju, w ucieczce, na tulactwie i w gniewie i w utrapieniu wszelkiem, lecz takim jak teraz nie pamiętał go nigdy. Błady był, zestarzały, chmurny, straszny, jakby w sobie pełen gniewu, którego wybuch wstrzymywał.

Zapytał naprzód o księżnę i dzieci, rzekł mu Marcik że zdrowi a z utęsknieniem oczekiwali na niego.

— Ja też do nich spieszę — odezwał się Łoktek ponuro — spieszę — ale dla wielu straszny i krwawy powrót mój będzie. Ze zdrajcami zrobię rachunek, którego pokolenia nie zapomną! Niezostanie mi jeden niemiec w mieście! — wybije to plemię zdradzieckie. — Lepiej żadnego miasta, niż to gniazdo plugawe!!

Suła odpowiadać mu nie śmiał. Dopiero wy czekawszy nieco, odważył się szepnąć z cicha:

— Miłościwy panie! Nie wszyscy w mieście winni, a pięknego miasta zaprawdę — żal.

— Wszyscy winni — zakrzyczał bijąc o siodło książę, tak że koń się pod nim rzucił. — Wszyscy. — Ci, co zdradzać nie chcieli, powinni byli wójta pilnować, a bodaj go ubić, niż nie poczcziwe dzieło dokonał!

Myślałem, że już spokojnie panować będę, gdy te łotry znowu zachwieli wszystkim...

...Gdybym się nie pomścił, Bóg by mnie karał. — Poczna jutro toż samo!

Mówił z takim uniesieniem, a ci, co dookoła stali, potakiwali mu tak, że Marcik zamilczeć musiał. Ale po chwili w nogę pocałowawszy księcia, rzekł znowu :

— Miłościwy panie, jam świadkiem żywym że nie wszyscy są winni. Dużo polaków w mieście i takich co trzymali zawsze z nami. Żydzi też nam pomagali. Znam i wymienić bym mógł takich, co się Albertowi niepoczciwemu opierali, choć im groził i znęcał się nad nimi.

Za mną jadą ci, co byli wam wierni, aby za miastem prosić.

Loktek się rzucił — oglądając.

— Gdzie oni? natychmiast na gałąź z nimi. Chcą-li być cali, niech mi się nie pokazują i w świat uciekają. Nie daruję żadnemu.

Marcik patrzył mu w oczy błagająco.

Księżę mruczał niezrozumiale, wzrokiem sięgając w głąb lasu, jakby w nim ofiar szukał.

Raz począwszy Sula nie mógł już ustąpić nic nie sprawiwszy, i począł po chwili :

— Miłościwy księżu, znacie mnie za wiernego sługę waszego, moja poręka może zaważy coś, a ja za tych rękę, którzy są ze mną, że z Albertem walczyli i nigdy nie byli z nim. Kapelan, który na koniu stał niedaleko i słuchał, a zdał się to nakłanianie do laskawości pochwalać, odczywał się popierając Sulę.

— Pan Bóg dla kilku sprawiedliwych miastom grzesznym chciał przebaczyć.

— Pan Bóg! — odparł książę. — Jemu to wolno, ale człowiek sprawiedliwym być musi bez litości. — Nie przebaczę nikomu.

W tem, jakby mu duchowny przypomniał biskupa, zapytał książę:

— Albert uszedł... a Muskata?

— O tym nie wiem, zdaje się, że w mieście być musi — rzekł Marcik.

Łoktek zwrócił się do ziemian, co stali za nim.

— Nim ja do Krakowa nadążę — odezwał się — kto z was ochotę ma, niech mi jedzie przodem, aby Muskatę wziąć. Zdradzi mnie znowu dla Czecha lub Ślązaka, wolę go pod kluczem mieć.

Usłyszawszy to Toporczykowie, którzy się zalecić pragnęli, a najlepiej Kraków znali, poczęli się zaraz naradzać z sobą. Łoktek nie pytając więcej, groźby miotał i żale rozwodził. Marcik z przed konia nie odstępował a w oczy patrzył, aby chwilę szczęśliwą pochwycić.

Wytrzymawszy nieco, odezwał się z wyliczaniem tych, co z nim przybywali, chwalił Pawła, zalecał Hinczę, podnosił Niklasza. Za każdym z tych nazwisk książę się rzucał i przerwał.

— Idź że ty mi precz z prośbami swemi—krzyknął — a chcesz z nimi nie ze mną trzymać, ruszaj gdzie i oni! Wszyscy jednego stryczka warci.

— Nie, miłościwy panie — rzekł śmiało Marcik — jesteś sprawiedliwym — będziesz nim!!

— Zły jestem! zawrzał książę i umilkł nagle. Nie było sposobu go rozbroić.

Ziemiańskie z tyłu stojące dawali znaki Marcikowi, aby go nie rozjątrzał bardziej niewczesnymi prośbami — Sula musiał odstąpić w końcu, sięść na koń i w bok zjechawszy, wrócić do oczekujących nań mieszczan.

Patrzali nań błagając, niespokojnie i poznali z poca, że nie im nie przyniósł dobrego.

— Nie zrobiłem nic dotąd, odezwał się do nich, — ale pierwsze kotki za płotki — nie myślę poprzestać na tem. Pojedziemy za obozem, na oczy mu się nie nastęczając.

Strwożyli się posłowie krakowscy bardzo. — W milczeniu przygotowali się do ciągnięcia i gdy wojsko i dwór pominęło ich, jak Marcik obliczył — jechali w tyle za obozem

Gdy nierychło potem stanęli na nocleg w lesie, bo Łoktek nigdy dworca i chat ani dla siebie, ani dla ludzi swych nie szukał: nadbiegł pacholik od księcia po Marcika, aby się do niego stawiał.

Obóz rozłożony był w dębinie, bez namiotów nawet i szałasów, gęsto strażami ostawiony, bo się zdrady od Ślązaków lękano. Mało kto nawet rzucił całkiem zbroję, rzemyków tylko popuszczano i hełmy zdjęto ze skroni.

Kilka ognisk rozłożonych oświecało obozowisko to — któremu ziemianie dodawali świetności, bo się wybrali okazale z domów, cześć panu czyniąc.

W prawdziwie królewskim też orszaku jechał Łokietek nienawykły do niego, a bogate rycerstwo daleko świetniej, niż on sam się stawilo.— Wśród postrojonych ziemian swoich on jeden miał starą, zezerniałą, wierną swą zbroję, noszącą na sobie ślady włóczni i mieczów, które się o nią rozbily i ów płaszcz stary, na którym krew nieprzyjaciół poprzysychała.

Powracał znowu do gniazda — zwycięzca, ale bez bitwy, smutny, jakby nie był pewnym, czy los go raz jeszcze nie wygna.

Ziemianie patrzali nań zdala z poszanowaniem i obawą.

Straszny był a groźny.—Ciężyły na nim niepowodzenia lat wielu, walki od życia początku, gorycze wygnania, npokorzenia niedostatku. Czoło się faldowało troskami przeszłemi i przeczuciami przyszłości. Już pół wieku miał za sobą wspomnień czarnych...

Zawołany Marcik stał przed nim. Książę dawszy mu chwilę czekać, rozpytywać jął o zamek, o obronę jego, o księżnę jak te dnie trwogi przebyła. Sula opowiadał, że Słazacy prawie się o zdobywanie go nie knsili, że głodu wielkiego

nie doznali, bo z miasta ich posilkowano tajemnie. Uderzyło to księcia, spojrział i nie rzekł nic.

Marcik korzystając z tego, że mu mówić było wolno, rozwodzić się zaczął nad Albertem i sprawami jego, nad samowolą i tyranią, którą on gnębił mieszczan. Dowodził mocno, że oprócz garści jego zauszników, nikt w mieście nie lubił go, obawiali się wszyscy, niektórzy jawnie się opierając, życia nie byli pewni. Przy tej sposobności wymienił znowu tych, których prowadził z sobą, i innych wielu, jako laski pańskiej godnych.

Suła pogotowin kazał być posłom, aby, gdy Łoktka przygotuje, mógł mu ich do nóg przyprowadzić, ale ksiązę przekonać się nie dawał, groził i w gniewy wpadał.

— To osie gniazdo całe wytłuc potrzeba — mówił, jeżeli jeden winny ujdzie bezkarnie, ja nigdy spokojnie, bezpiecznie na zamku nie będę mógł usiedzieć. Wójtą zażądają, coby jak ten panem był i własnych rządów!! Nie! nie! — ja z zamku niemi żelazną ręką rządzić będę, z mego raniienia wysadzę urzędników, co ich w kluby wczmą... Swobód im nie dam żadnych... zdradą je stracili...

Ziemiańie, którzy kołem stali, potakując panu, miasto oskarżali. Suła wysłuchawszy tego, poklonił się, wysunął i wrócił do mieszczan, mówiąc z westchnieniem:

— Nie pora jeszcze!

Nazajutrz rano jak dzień, kapłan mszę odprawiał pod dębem, na darniowym, na prędcie wystawionym oltarzu. Pan, dwór i czeladź stali z odkrytymi głowy, słuchając jej. Msza się odprawiała cicho, pieśni nie było komu anucić a i w piersiach nie na pieśń się zbierało. Już przeżegnał ksiądz i Łoktek odstąpić miał, gdy spostrzegł u nóg swych leżących kilku ludzi, z głowami aż na ziemię pochylonemi.

Zbladł i cofając się, zadrżał.

Twarzy ich niewidząc, przeczuł kto byli, groźnie okiem tocząc i szukając winowajcy, co ich tu śmiał przyprowadzić.

Mieszczanie płacząc, błagali litości. Tuż oltarz stał i krzyż na nim z Chrystusem.

Hincza Keczer pierwszy odważył się podnieść głowę.

— Miłościwy panie! w imię Chrystusowe, nie karz niewinnych za przestępstwo tych, co zawiniłi. Ułituj się! — ulituj dzieciom naszym.

Nie nie odpowiadając, ksiązę głowę potrząsnął — dał znak aby szli precz.

Spodziewano się jakiegoś wyroku — stał niemy — spojrzał na krzyż i Chrystusa i zwrócił aby winowajców nie widzieć.

Jechali tedy za obozem, kryjąc się wśród niego, do Krakowa.

Męczeński to był pochód dla nich bo słuchać

musieli, jak się wszystka gawieź zmawiała, iż z miasta żywcem nikogo nie puści, co polskich słów czysto wymówić nie potrafi

Żartownisie dobierali już najtrudniejsze wyrazy, które niemcy pod gardłem wymawiać będą musieli. Jeden chciał dawać na próbę—*Soczenicę*—drugi i *trzcinę* i *mielący młyn*; i tak zawczasu zmawiali się, jakby Niemców udręczyć mogli...

Cieszyła się gawieź wojskowa i ciury, że im wolno będzie puścić sobie cugle i poswawolić krwawo...

Ukazały się wieże kościołów i bram mury. Łoktek, który jechał niemy, stanął.

— Nie tknę stopą miasta... na zamek wprost...

Zwrócił się do dowódców, poczynając wybierać tych do zajęcia Krakowa, co najmniej nad nim okazywali litości. Wskazał im miasto jakby je na łup oddawał, a sam okrażając je, puścił się na Wawel przez Okole.

Nazajutrz, aż na zamek docbodziły jęki, płacz i krzyki nieszczęśliwych...

Książę siedział w izbach z żoną i dziećmi, nie pytając o nic, nie chcąc wiedzieć o niczem.

Rozkazy były wydane—miłosierdzia mieć nie chciał.

Gluchy tentent rozległ się w nlicach, konie

wywlekały na wpół żywych, zauszników i pomocników Wójta Alberta, ku szubienicom, za wrotami stojącym.

W mieście trupy leżały po ulicach, stały przy ścianach, w rynku kat i oprawcy ścinali.

Trzeciego dnia—cicho było jak w grobie.

Wójtowski dom cieśle i murarze przerobili na zamek wśród miasta, mający strzedz tego, co w niem pozostało.

Na ratuszu zasiadali Radni, ale nie z wyborów tylko z ramienia pańskiego. Wola księcia była prawem... Kasztelan miał rządzić miastem i już pacholkowie jego kamienice i dworzyszcza winnych na skarb zajmowali.

Wymarłe stały ulice — martwy był rynek — pogrzeby ciche szły bez śpiewów ku cmentarzom, a za nimi kobiety zaplakane.

Marcik dobijał się do wrót Pawła, które mu nierychło otworzono. Paweł z Brzega wyznaczony Burmistrzem był na Ratuszu. Bocznią furtą wszedł Sula do dworu Grety. I tu cisza była i pustki, choć wóz świeżo wyprzężony kazał się domyślać że wdowa powróciła.

Zwolna wszedł do izby jej Marcik. Siedziała w istocie pod oknem, jak posąg błąd. Spojrzała na przybyłego, który się zatrzymał w progu. Mierzył ją oczyma tylko.

— Przychodzisz po zapłatę—odezwiała się do niego Greta, za to żeś Pawłowi i jeszcze kilku głowę na karku zostawił?

— Choćby i tak było—rzekł Sula spokojnie. Nastawiałem ja swoją dla was, a za długie służby wierne coś mi się należy. Nie chciałem zapłaty innej tylko was... bom sobie dawno rzekł—moją musicie być!

Wdowa wlepila w niego wzrok i długo, długo tak siedziała, patrząc na Marcika...

— Pilno ci—rzekła—biedę sobie kupić?

— Komu co przeznaczone—odparł spokojnie—moja dola, sprawa moja!

Siadł na ławie, jakby już u siebie w domu, hełm zdjął i złożył na stole.

— A Kurewurst? — zapytał.

Greta wskazała w dal ku Pannie Maryi.

— Na mogilkach—odparła.—Zachorzał ze strachu a umarł z żalości po mnie.

— Dobrze zrobił—z szyderstwem jakimś odezwał się Marcik—opróżnił miejsce dla mnie! w samą porę...

Wdowa się nśmiechnęła. Bąkając do siebie po słówku, Pawła się doczekali. Ten wszedł zbłądły i dobrze przychudzony, i na dany przez Marcika znak, odezwał się do synowicy.

— No—Gretchen—chcesz nie chcesz, musisz mu rękę dać! Słowo za siebie i za ciebie dałem, musimy strzymać.—Oni tu teraz wszechmocni...

I żał mu się jej zrobiło, aż kryjąc smutną twarz, odwrócić się musiał. Greta nie nie odpowiedziała. Siedzieli z Marcikiem, patrząc jedno na drugie, aż żołnierz przysunął się i za rękę chciał ująć, ale mu ją wyrwała. Więc gwałtem pochwycił i trzymał, że mu już nie mogła jej odebrać.

— Moją musisz być — zawołał — ściągając jej pierścien z palca, a gotowy już wkładając, który książe ze skarbcza mu wydać kazał.

Osobliwsza rzecz, Greta jakby o oporze zapominając, ciekawie się poczęła pierścieniowi temu przyglądać. Nie byłaby niewiastą. Nie zrzuciła go, przysunęła do oczów, na oczko przeciw światła popatrzyła i obie ręce zasunęła w rękawy.

— Kiedyż wesele? pytał Sula uparty.

— Jakście bezemnie postanowili zaręczyny, tak sobie i o weselu stanówcie bezemnie — odparła wdowa, patrząc w okno.

Paweł głową poruszał, Marcik ku niemu się zawrócił.

— Niedzielę jedną poczekam, dalej nie! — rzekł krótko.

Nie odpowiadano. — Znowu za rękę próbował wziąć, nie dała mu jęj nadąsana.

Marcik pomimo to był dobrą myśli, mrugali na siebie z Pawłem. — Nie mogąc się ręki doprosić — śmiało objął ją wpół, a choć mu się wyrwała i krzyczała, w czoło pocałował. Ży-

mnęła się, rumieniec ją okrył, ale go nie po-
łajala.

Rzecz tedy była jak skończona.

Siedli za stół z Pawłem. Wdowa z początku
nie mieszała się do ich rozmowy, aż gdy Alberta
wspomnieli — drgnęła i gniewne ku nim oczy
zwróciła.

— Tego trzeba było na najwyższą sznubienicę
dać! — zawołała, a wyście mu ująć dali!

— Czekajcie mało, może go ten los spotka
co innych — rzekł Marcik — jeżeli nie gorszy. Szu-
bienica krótka chwila, a on będzie wisiał lata
dłgie, umrzeć nie mogąc...

Nadeszła niedziela, na ślub naznaczona.

Greta tak samo milcząc, nadasana, dała się
do ołtarza zaprowadzić; dopiero gdy do dworu
powrócili, gdzie mała garstka gości zebrała się
na ucztę weselną, nagle dawną swą wesołość
i swobodę odzyskała, panią być poczynając. Usta
się jej rozwiązały za wszystkie czasy. Za stołem
żartowano i śmiano się do rozpuku, a najęty od
Szeluty Czclustka bawił gości, jakby o świeżo
rozlanej krwi zapomniat.

Tylko Marcik siedział chmurny i cichy —
z nkosą spoglądając ku urodziwej żonie...

Po trzech dniach wesela, gdy Paweł do no-
wożeńców zszedł rano — zdziwił się, doma ich
nie zastawszy. Radę nie radę małżonek Gretę
swą na wóz wsadził i do Wieruszyc z nią pojechał.

Stryj otarł pot z czoła, stanął w progu i zamruczał.

— Niechże go Święci strzegą, bo pocziwiec niemałej sobie biedy napytał — a mnie po niej — wieczny żal!!

KONIEC

Styczeń, 1880.

—
Drezno.

Biblioteka Raczyńskich

JIK **588**



JIK0588